K. LASKOWSKI (EL).



ŻYDZI PRZY PRACY.



SKŁAD GŁÓWNY W DRUKARNI S. CHMIELEWSKIEGO
„WIEK XX", WARSZAWA, BRACKA 13. TELEFON 34-90.

KAZIMIERZ LASKOWSKI (El.)

ŻYDZI PRZY PRACY.

WARSZAWA 1912.
Nakład i Skład główny w drukarni S. Chmielewskiego, „Wiek XX",
Bracka 13.

Odbito w drukarni S. Chmielewskiego, „Wiek XX", Bracka 13.

Żydzi przy *pracy!*

Nie wierzycie?

Posłuchajcie!

Że pracują — to fakt, że odmiennie od nas, to nie ich wina. Różnica wszędzie być musi, inaczej świat znudziłyby się jednostajnością. Natury poprawiać nie należy, a jeżeli *wełna* ma kiłka gatunków, dlaczegożby *praca* mieć ich nie mogła?

Koń pracuje, ciągnie piersiami, wół karkiem lub rogami; doktór głową, a potrosze ręką, badając puls chorego, adwokat gębą, grabarz rękoma i nogą, bo stopą naciska rydel... wszyscy pracują na swój sposób. A żydek? żydek nietelko, że pracuje, ale pracuje za *trzech,* handlując. Po pierwsze: *bada* szlachcica, jak doktór, czy mu potrzeba pieniędzy; powtóre — *gardłuje,* jak adwokat, „że więcej za pszenicę pod heirymem dać nie może"; po trzecie — robi czasem, jak grabarz, *grzebie* nie wypłacalnego dłużnika... subhastując lub tradując go komornikiem.

Omne trinum perfectum — mawiali starożytni mędrcy — gdzie jest troistość, musi być doskonałość, a do doskonałości dojść można jedynie drogą specjalnych studjów, rozwijających wrodzone uzdolnienie, wytrwałością i oddaniem się zupełnem powziętemu z góry celowi.

I w tym wypadku inaczej nie jest. Są studja, jest uzdolnienie, wytrwałość, cały kahał danych do pomyślnego rezultatu wiodących.

Prostym rozumem, zwyczajną główką takich rzeczy dokonać nie można, do troistej pracy potrzeba *terna* zalet.

A wiadomo, że *terno* nawet na loterji jest rzadkością i na tysiące grających jednemu się trafi.

Są ludzie, którzy tego *terna* w żydowskiej pracy, co samej pracy nawet nie widzą. Ale jaka na to rada? Przecież przez tyle wieków świat

głupi sądził, że ziemia stoi, a słońce kręci się koło niej przyświecając, choć było odwrotnie! Czy stąd wstyd dla ziemi lub dla słońca? Nie — dla tych, co tak myślą.

Tę uwagę astronomiczno-porównawczą wybaczą mi czytelnicy; podyktowała mi ją słuszność, zamiłowanie prawdy i skłonność do obiektywnych poglądów.

Analiza spektralna, jak mię uczono w szkołach, wykazuje, że biały promień słoneczny składa się z siedmiu barw, analiza żydowskiej pracy, gdyby ją jaki mąż uczony przeprowadził, niechybnie dowieśćby musiała, że praca ta ma nie siedm, ale siedemdziesiąt siedm podgatunków, rodzajów, zlewających się w jedną okrągłą całość.

Nie będąc mężem uczonym, nie jestem w stanie każdego z tych odłamów izraelskiego wysiłku opisać, z konieczności przeto poprzestać muszę na najwybitniejszych, tak jawnych i przekonywających, że z nich i o reszcie odcieni niejaki sąd wyrobić sobie można.

Przytaczam je w alfabetycznym porządku:

1) Handel towarami, zbożem, wełną, lasem, słowem wszystkiem, co ziemia daje, 2) faktorstwo, 3) pożyczanie pieniędzy na procenta, nietrafnie zwane „lichwą”.

Znów mamy *terno!* lecz o przeróżnych kombinacjach.

Trzymać się będę „głównych kierunków“, żeby zaś wykład uczynić barwnym i mniej zawiłym, zastosuje doń „metodę poglądową“ i, wybrawszy z każdego działu odpowiedni „model“, opiszę jego działalność, znajomość fachu, wykonanie podjętej pracy, opierając się zawsze na osobistej obserwacji, własnem doświadczeniu.

Rzecz prosta, że rozpocznę od najgrubszej ryby — od handlu zbożowego, którego filarem w mojej okolicy jest Mordka Echt.

Mordka Echt.

Jest między kupcami ładny zwyczaj, sięgający zamierzchłych czasów.

Ongi—kiedy to jeszcze na ziemi było przestrono, a ludziskom zachciało się w jakiej miejscowości budować miasto, zaprzęgali parę białych wołów do pługa, oborywali w około kawałek potrzebnego placu i granica gotowa... bez żadnej subiekcji, bez rejenta, bez hypoteki.

Zwyczaj ten wygodny, prosty, w odmiennej nieco formie, przechował się jedynie wśród izraelskich kupców zbożowych, leśnych i wełnianych. Wprawdzie żaden z nich wołów nie zaprzęga i granicy nie oboruje, lecz treść pozostała ta sama.

Przywdziawszy podróżny garnitur chałatowy, młody kupiec, gdy stawia pierwsze kroki, siada na furmankę I objeżdża sobie kawałek powiatu, mniejszy lub większy, stosownie do gotówki, jaką zawiniętą w starej gazecie na piersiach wiezie.

W takim kawałku są dwie, trzy, cztery wioski — jak czasem. W wioskach mieszkają chłopi i po jednym szlachcicu z rodziną, jeśli jest żonaty.

Objechał, popatrzył, obliczył ile kto wart, powiedział: „to moje"— i granica gotowa.

Trzeba tylko patent wykupić. Taki już czas. Za utrwalenie swych praw potrzeba koniecznie płacić

Poszedł do kahału, opowiedział, co widział, zapłacił wpisowe i historja skończona. Teraz wszystko, co widział: dwory, chaty, chłopi, szlachta, lasy, pola, łąki... to jego warsztat, jego pole pracy, jego majątek.

Taki ładny zwyczaj nazywa się *hajzówką*.

Kiedy Mordka Echt, po odbyciu teoretycznych studjów na rynku pułtuskim, zapragnął nabytą wiedzę praktyką uzupełnić, „delikatną głowę w ruch puścić", musiał również, według obyczaju praojców, *objechać granicę*, nabyć kawałek placu, na którym, miał stanąć gmach przyszłej jego pomyślności, stawiany usilną pracą.

Traf zdarzył, że na tym placu leżała właśnie wioska waszego sługi, traf szczęśliwy — dodam — bo nastręczający sposobność naocznego i namacalnego „na własnej skórze" zbadania pracowitej latorośli wybranego ludu.

Dzisiejszy pan Mordka Echt—ani podobny do tego dawnego Mordki!

Pamiętam, jak dziś, gdy pierwszy raz z parasolem w ręku zjawił się, przeprowadzony ujadaniem gończych, na ganku.

Ja jakoś nie miałem czasu, ale Mordka miał i czekał, Czekał godzine, dwie... zjadł kilka obwarzanków i włóczył się za mną, jak cień po całem gospodarstwie, raz po raz pytając:

— Może jaśnie pan sprzeda kilkanaście par? może kilka korcy grochu? może ze dwie furmanki owsa? Ja dobrze zapłacę...

Znudzony, sprzedałem mu pięćdziesiąt korcy jęczmienia.

Wyjął pieniądze, zapłacił, nawet kontraktu nie żądał

Mój Boże! jak się to czasy zmieniły!

Teraźniejszy Mordka niedość, że mię już „jaśnie panem" tytułować przestał, ale i kontraktu wymaga, w dodatku na stemplu żeby kotrawencji w wypadku rozprawy sądowej nie płacić.

W jakiś czas później sam nabyłem kilkadziesiąt korcy owsa u sąsiada. Dobiliśmy targu w dwóch słowach. Już wtedy uderzyła mię różnica między jednem a drugiem kupnem. Ja załatwiłem się w mig, Mordka kupował u mnie pół dnia.

Czyż więc moja praca przy kupnie mogła się równać z jego *pracą?* czyż po sprawiedliwości wynagrodzenie obu prac winno być jednakie?

Przenigdy!

Mordka zarobił na mnie po pięćdziesiąt kopiejek na korcu, lecz słusznie mu się należało. *Napracował się,* nagadał, nanudził, pół dnia stracił, a wiadomo że czas to pieniądz.

Brak miejsca nie pozwala mi na skreślenie historji działania Mordki Echta w całej rozciągłości, ale, jak *ex ungue leonem*, tak z jednej operacji handlowej mego bohatera można już poznać, z kim się ma do czynienia.

Kto zaś, jak wasz sługa, przez lat dwadzieścia z rzędu miał sposobność przyglądania się przynajmniej raz na tydzień, w dzień jarmarczny, zabiegom, staraniom, przygotowaniom do „interesu" pułtuskiego kapitalisty, ten choćby miał głowę zamkniętą na cztery spusty, z konieczności poznać się na tem musiał.

Jeśli w każdem żydzie, jak to powyżej powiedziałem, siedzi kawałek doktora, to w Mordce siedział cały doktór i to pierwszej wody djagnosta

Rzecz prosta, że do tej doskonałości dochodził stopniowo przez badanie hypótek majątkowych, wpisów hypotecznych, postrzeżeń, oraz przez poważne referencje o stanie majątkowym każdego pacjenta. Mordka wiedział na pamięć, ile który szlachcic ma długów hypotecznych, ile kieszonkowych, wiedział, o wszystkich przypuszczalnych sukcesjach, znał wysokość posagów, wartość dożywocia; wiek i stan zdrowotny dożywotnika nie były mu nawet obcymi

Tego rodzaju wytyczne stale uzupełniał referencjami z poważnego pachciarskiego źródła.

Regestra gospodarskie okolicznych wiosek miał w głowie. Wiedział co do morga, ile na każdym folwarku zasiano oziminy, ile jarzyny, jak zrobiono w polu; znał obfitość zbioru i wydajność z kopy; wiadomem mu było nawet, do której stodoły jakie zboże złożono, który gatunek dostał się pod spód, a który na wierzch. Ostatnia wiadomość dostarczała mu wątku do wniosków, jakie zboże szlachcic najpierw młucić każe, a co zatem idzie i sprzedawać zamierza.

Po zatem w głowie Mordki Echta znajdował się jeszcze cały kalendarz różnych dat i terminów. Było w niej zapisane: kiedy p. Karol ma płacić matce dożywocie, kiedy p. Ignacy ma wnieść ratę bankową, ile p. Józef zaległ „Towarzystwu“ (w tym celu dla „ogłoszeń“ trzymał *Gazetę Warszawską)*, że już o terminach ostatecznych wnoszenia podatków gruntowych i gminach nie wspomnę. Nie dość na tem; Mordka, choć w zabawach i przyjęciach nie uczestniczył, wiedział na pewno, kiedy wypadają imieniny p. Piotra, na które się cała okolica zjeżdżała, znał dzień urodzin p. Michała, obchodzony zawsze uroczyście, był nawet uprzedzany o każdem polowaniu, o każdym baliku lub herbatce z tańcami.

Na co mu te wiadomości potrzebne były — to się później okaże.

Rozporządzając takiem zasobem wiedzy, rokrocznie uzupełnianej gruntowemi studjami, Mordka Echt, gdy mu się pacjent trafił, nigdy się w djagnozie nie pomylił, z góry wiedząc, co komu i w jakich dawkach przepisać należy.

Rzecz prosta, że im choroba była gwałtowniejsza, im niebezpieczeństwo groźniejsze, tem recepta kosztowniej wypadała.

Bywało przyjedzie przed św. Michałem p. Karol do Pułtuska. Mordka tylko nań spojrzał, już wie co mu brakuje. Pacjent ma płacić dwie raty „Towarzystwa“, zaległych podatków rubli trzysta potrzeba mu jeszcze pięćset rubli na najem i dla służby,

razem około tysiąc pięćset rubli. Pan Karol zwiózł pszenicę do stodoły z młocarnią, ma namłuconego ziarna sto korcy, będzie miał jeszcze sto pięćdziesiąt sto mu braknie, bo p. Karol przyjechał właśnie sprzedać pszenicy 350 korcy.

To wszystko wie już Mordka i odpowiednią recepte pisze. Najprzód nie chce kupić pszenicy, wołałby żyto. Z pszenicą coraz gorzej, z każdym dniem spada, żadnego ruchu niema. Wolałby kupić żyto, byle zaraz zabrać, bo potrzebuje dla „mączarzy". Pan Karol ma żyto, przyłożone owsem i jęczmieniem, więc żadną miarą młócić teraz nie może.

Mordka robi grzeczność—wygodę, kupi pszenicę, da połowe pieniędzy zaraz, po 4 rub. 50 kop. za korzec, drugą połowe przy odbiorze. Pan Karol nie może przystać, bo mu potrzebna cała gotówka 1,500 rubli!

Mordka wie o tem, więc „z dobrego serca" przystanie, ale nie może dać więcej niż po 4 rub. 30 kop., a „na wypadek", jakby pszenicy brakło, p. Karol musi mu niedobór pokryć płacąc po 5 rub. za korzec niedodany

Pan Karol nie chce. Ale Mordka wie ze on *musi* przystać, bo za trzy dni ma płacić podatki, a nikt inny nie zrobi z nim interesu, bo Mordka ma na niego *hajzówkę*.

Pan Karol przystał, Napisał kontrakt na 350 korcy pszenicy. z datą, wagą, na stemplu i z warunkiem przez Echta zastrzeżonym. Mordka wypłacił 1,500 rubli. Rozeszli się w zgodzie.

Teraz pytanie: dlaczego Mordka taki, a nie inny kontrakt zakazał p. Karolowi pisać? Odpowiedź prosta: Po pierwsze, on wie, że nie odbierze w terminie 250 korcy, tylko,—że za nie weźmie po 5 rubli i wycofa zaraz kapitału 1,250 rub., za resztę będzie miał 100 korcy pszenicy, której mu p. Karol nie odda, bo mu braknie, ale za to da mu kwit na 500 rub. i wypłaci mu procent (cztery na miesiąc) z góry za

trzy miesiące. Po trzech miesiącach p. Karol znów nie będzie miał oddać gotówki; wtedy naodwrót, kwit przemieni się na kontrakt z „nowego". Mordka kupi na „zielono" pszenicę po 3 rub. za korzec z odbiorem z *pierwszej młócki* Należy mu się 560 rub. z procentami przeszło, weźmie kontrakt na 184 korce pszenicy, nawet dopłaci do dwustu dla porządku.

Mordka wie to wszystko naprzód i dlatego nie straci, przeciwnie, zrobi dobry interes, bo za 250 rub., jakie mu u p. Karola faktycznie pozostały, odbierze wprawdzie w dziesięć miesięcy później — 186 korcy pszenicy wartości 930 rubli, licząc po 5 rubli za korzec.

Ładny procent! ładne honorarjum! ale czy go Mordka Echt nie zarobił? Czy się nie *napracował*, aby się dowiedzieć dokładnie, kiedy i ile p. Karolowi pieniędzy będzie potrzeba?

Za taką udatną operację warto zapłacić.

Bywały operacje jeszcze trudniejsze; do takich należała przemiana gatunków zboża.

Czyż który przyrodnik, chemik, ba! elektrotechnik, nie wyjmując słynnego Edisona, zdołałby przemienić jęczmień w pszenicę, pszenicę w groch lub rzepak?

Tę arcysztukę wykonywał Mordka Echt z wielkiem powodzeniem.

Był to jego *majsterstück*; specjalność.

Kupił u p. Ignacego sto korcy pszenicy. Nieszczęście chciało, że pszenica zrosła. Trudno, nieszczęścia po ludziach chodzą, ale Mordka nie może być stratny. Obliczył, iż na czystej zdrowej kostromce miałby pół rubla na korcu co najmniej zysku. Zrobili z p. Ignacym układ. Pszenicy nie było, zgodny Mordka musiał brać co było pod ręką. Był jęczmień; tylko znów nieszczęście chciało, że jęczmień *nie płacił*. Ale Mordka, ryzykant, przystał i na jęczmień. Czasem to jeszcze i jęczmień przeobraził się w inne ziarno, w rzepak, owies... aż w końcu Mordka był zmuszony za pierwsze sto korcy pszenicy wziąć... okowitę.

Rozumie się, że ziarno, przepuszczone przez kontraktowy alembik z „dopiskami", musiało swój *profit* przynieść, od tego jest spekulacja! Przyrosło trochę na jęczmieniu, trochę na grochu, resztę na rzepaku i okowicie; ale w tem nie wina Mordki, tylko przekropnego lata, mokrych żniw.

Najbardziej lubiał kupować Mordka, *to czego niema*.. Wiedział że pan Józef już dawno owies wymłócił, że nie ma na sprzedaż ani korca, ale kupił „na przednówku" 200 korcy. Dlaczego nie miał kupić? Pan Józef miał ładny kawałek lasu, czystą jeszcze hypotekę, było gdzie owies przechować. Nie odda w terminie, bardzo dobrze, Mordka będzie czekał; nie odda z „nowego", jeszcze lepiej... Niech sobie owies rośnie! Mordka ma czas i cierpliwość, a las swoją wartość. W ten sposób Mordka Echt w lat sześć dochował się z 200 korcy owsa dwóch włók ładnego lasu. Za las wziął parę tysięcy rubli, a że właśnie p. Józefowi potrzeba było pieniędzy, to cały zarobek utopił zaraz na 1-ym numerze hypoteki.

Miał później trochę subjekcji z odbiorem, musiał fatygować sąd okręgowy i komornika, ale koniec końcem odebrał swoje i nikomu się chyba owies tak dobrze nie opłacił jak jemu.

Bywali jednak pacjenci nieuleczalni. Z temi Mordka niechciał mieć nic do czynienia. Gdy się taki szlachcic trafił, najczęściej Mordki nie było w domu, a jeśli go już przypadkiem przydybał, to wtedy brakło mu czasu. W ostateczności Mordka Echt otwarcie przyznawał się: „że właśnie teraz nie ma pieniędzy"—i posyłał pacjenta do innych lekarzy: Chaima Krawata, Joska Endewelta lub Herszli Feinblata...

Pomimo biegłości Mordki, trafił się czasem pacjent z takiem zawikłanem zdrowiem hypotecznem, że trzeba było zwołać *consilium*.

Mordka wtedy prosił pacjenta o chwilkę cierpliwości i posyłał po „najtęższe" głowy w całym Pułtusku.

Konsyljum odbywało się w języku dla pacjen-

ta niezrozumiałym, pełnym technicznych zwrotów i określań: *a gunyś. kapcan, obe dues obe jenes* i t. d.

Przecież i doktór pisze receptę po łacinie!

Handel ma także swoją *łacine — żargon.* Niektórzy lingwiści utrzymują, że to jest paskudztwo, nie język,

Nie mają racji. *Żargon* jest śliczną delikatną mową kupiecką, do interesu bardzo potrzebną. Z jej pomocą żydek z pod Pińska rozmówi się z żydkiem z Będzina, kupiec z Mławy zrobi spekulację w Berdyczowie, starozakonny z Jałty może pogawędzić z kupcem szczekocińskim; z taką mową może przejść świat cały i nie zginąć!

W Starym Zakonie napisano, że przy budowie wieży Babel wszystkie języki zostały pomieszane. Tak stoi w piśmie. *Żargonu* wtenczas jeszcze nie było, więc on jeden nie został zmieszany i jest czysty, jak spirytus 96 próby! a że się zwyczajni ludzie na tem nie znają... trudno.

Na piękności języka naukowego nie wszyscy poznać się mogą.

Mniejsza zresztą o to, dość że konsyljum u Mordki Echta odbywało się w języku handlowym. Rezultat wypadał różnie, czasem wszyscy zgodzili się na jedno, czasem zdania były podzielone.

Jedni mówili: dać!

Drudzy: nie dać! *a gunyś!*

Wtedy zdanie Mordki przechylało szalę na tę lub ową stronę. Najczęściej godził on zwaśnionych konsultantów krótkim aforyzmem. „Dać, ale *z solidarnem poręczeniem.*“ Pacjent, wysłuchawszy wyroku, wracał do domu szukać poręczyciela. Znalazł— dobrze; nie—to trudno. Zdarza się przecież, że lekarz zapisze choremu Meran albo zagraniczne kąpiele, a chory nie ma pieniędzy i nie pojedzie. Czyż to wina lekarza, że pacjent leczyć się nie może?

Tak *pracował* Mordka Echt u siebie na miejscu,

Czasami wyjeżdżał Mordka Echt w objazd za

interesami. Dawniej robił to często, poświęcając na ten cel trzy dni w tygodniu: poniedziałek wtorek i środę. We czwartek, jako dzień jarmarczny, w piątek przed sabatem i w sabat siedział zawsze w domu, a w niedzielę przygotowywał się do podróży.

Teraz Mordka jeździ rzadko, wyrobił sobie już klijentelę i woli przyjmować w domu, lecz dawnemi czasy, z lat młodych, często wizytował okoliczną szlachtę.

W podróży trzymał się Mordka stałej wypróbowanej metody, nie przyjeżdżał nigdzie naumyślnie, ale zjawiał się niby „przypadkiem".

Od kogo nauczył się tego systemu—niewiadomo. Prawdopodobnie od jakiego konkurenta

Było w zwyczaju dawniejszych konkurentów, że gdy pierwszy raz jechali do panny, psuły im się koła, zdarzył się jakiś wypadek, sprowadzający pierwsze spotkanie. Po przypadkowem zaznajomieniu następowała urzędowa wizyta, kawalerskie *bywanie z zamiarem*.

Mordka Echt także zajeżdżał do szlachty po „kawalersku", jak konkurent do panny, z tą różnicą, że nie własną czwórką w krakowskich chomontach, ale najętą chłopską furmanką.

Przed podróżą przeglądał tkwiące w głowie wiadomości, tworząc odpowiednie kombinacje.

U p. Stanisława za tydzień imieniny. Pewnie będzie bal — rozważał — trzeba tam zajrzeć. Zboża nie ma, ale możnaby „braki" kupić. Po drodze wstąpi do Górki, obrachuje się — dziedzic z Górki lubi czasem naprzód sprzedać... potem do Dąbrówki; tam zawsze „krucho", a mają ładny rzepak...

Ruszył w objazd.

Do dworu wprost nigdy nie zajeżdżał, zatrzymując się najpierw przed mieszkaniem pachciarza. Odbywszy z pachciarzem krótką konferencję i uzupełniwszy pierwotne wytyczne najświeższemi wiadomościami, udawał się Mordka Echt do dworu.

Pierwsze słowa, jakie wygłaszał po powitaniu

szlachcica, były rodzajem przedmowy do autora i brzmiały zwykle: „Przejeżdżałem przypadkiem, więc wstąpiłem, żeby się dowiedzieć, co u wielmożnego pana słychać...“

Jeśli szlachcic miał na sprzedaż pszenicę, to Mordka między innemi uprzedzał z miejsca, iż z pszenicą teraz bardzo źle, spadła. On sam stracił pareset rubli. Toż samo rozpowiadał o owsie, życie, jęczmieniu, słowem o tym produkcie, jaki się spodziewał kupić.

— Mówisz, panie Mordko, że żyto spadło?...— wtrącał zafrasowany szlachcic.—A ja właśnie chciałem ci ze sto korcy sprzedać.

— Lepiej poczekać, wielmożny panie. Może będzie lepiej... Kto to może zgadnąć!? Ale dziś... kiepsko—zapewniał przybyły.

— Ba! poczekać! kiedy mi dyabelnie potrzeba pieniędzy...

Mordka wzruszał ramionami, jak człowiek, który na to rady nie ma. Wyjmował z kieszeni różne „próbki“, przytaczając cenę, jaką płacił.

— Zresztą — jeśli wielmożnemu panu gwałtem potrzeba... Niech będzie! ale nie mogę dać więcej niż trzy ruble i tylko dla wielmożnego pana. W drugiem miejscu nie dałbym tego! *auf meine Munes!*

Zaczynały się targi. Mordka powoływał się na poprzednie, jeszcze tańsze kupna, wtrącając: „niech wielmożny pan spróbuje gdzieindziej. Może kto da więcej. Może Joel albo Mosiek Luft...“

Mordka wiedział dobrze, że żaden z wymienionych kupców, z którymi miał „cichą“ spółkę, zatargowanego przez niego żyta nie kupi, wiedział także, że szlachcic czekać nie może. Właśnie dlatego tak mówił.

Koniec końcem przychodziło do zgody. Mordka postąpił 7 kop. na korcu, zastrzegł sobie w kontrakcie, że żyto ma być „suche i dobrze doczyszczone“ i wyjeżdżał z kontraktem w kieszeni.

Ale co się to przy takiem kupnie *napracować* trzeba!

Czasami bardzo rzadko — trafiał się Mordce szlachcic „twardy", co miał jeszcze trochę gotówki i zbożem chciał po kupiecku spekulować, czekać lepszej ceny. Kto słyszał? trzymać stare zboże do nowego! czy to szlachecka rzecz?

Z takim była najtrudniejsza robota. Lecz i na to miał Mordka swój sposób. *Straszył.*

Przyjechał, o kupno ani słówkiem nie potrącił, tak przypadkiem... w przejeździe wstąpił. Szlachcic spytał: po czemu zboże? Mordka wtedy opowiadał, że między kupcami gwałt wielki, zboże coraz więcej spada. Podobno w Ameryce urodzaj niebywały, a w dodatku te Niemcy—słyszał od jednego kupca z Gdańska—mają jeszcze cło podnieść. I tak już za granicę nie idzie... a teraz to niewiadomo, co będzie! On sam ma tysiąc korcy pszenicy, kosztowała go po pięć rubli, teraz, żeby się kupiec trafił, sprzedałby bez zarobku... nawet ze stratą... bo później będzie jeszcze gorzej!

Straszył.

„Twardy" szlachcic słuchał, a choć w gazetach nic o tem nie czytał, przypomniawszy sobie o dokładnych i szybkich relacyach „pantoflowej poczty", zafrasował się zarówno projektem parlamentu niemieckiego, jak i urodzajem Ameryki.

— Dyabeł nie śpi! — myślał. A nuż? Trzeba może sprzedać...

Mordka naprzód odgadywał myśli szlacheckie i zabierał się do odwrotu, aby tem silniej swą bezinteresowność zadokumentować.

Wtedy szlachcic sam od siebie zatrzymywał Mordkę i występował z propozycją sprzedaży.

Mordka początkowo ani słuchać nie chciał! Powoli jednak miękł. Bo czegóżby on „dla wielmożnego pana nie zrobił!"

Ryzykować—kupiecka rzecz. Mordka lubi ryzykować, choć wie, ze traci, ryzykuje. Może się na czem innem odbije...

Rozpoczynały się zwykłe targi. Mordka wychodził, siadał nawet na furmankę, to znów wracał, wołany przez upartego szlachcica.

Ostatecznie po kilku wyjściach i powrotach następowała zgoda. Mordka kupił, ale pot kroplisty oblewał mu czoło, tak się napracował.

Przecież wiadomo, że jak człowiek drugich *straszy*, to się i sam trochę boi.

Jednakże największa *praca* czekała Mordkę, jeśli nieszczęściem zmuszony był wziąć się do... *grzebania*.

Była to nietylko robota, ale cała nieprzyjemność!

Przystępował też do tej akcji z wielką niechęcią, po wyczerpaniu wszelkich środków układowych, kiedy przemiana gatunków zboża nie skutkowała lub „dopisywanie“ mu się sprzykrzyło.

Wtedy rozpoczynał tę najtrudniejszą część pracy od generalnego obrachunku z klientem.

— Bój się Boga! Mordka! skądże się tyle wzięło?—wołał przy obrachunku przerażony szlachcic.

— Skąd się wzięło? Pan dobrodziej żartuje... Łońskiego roka dałem pięćset rubli na pszenicę, na bezrok trzysta rubli na żyto... Na św. Jan kupiłem rzepak... dałem sześćset rubli na wełnę... Czy nie dałem?—rachował Mordka. Pan dobrodziej ma krótką pamięć. To wszystko stoi napisane... Papier to święta rzecz!

Po tej przedmowie Mordka chował kwity i kontrakty do pugilaresu i, zwracajac się do szlachcica, rzucał niewinne na pozór pytanie: *Co będzie?*

Takim bywał wstęp.

Co będzie? Mordka dobrze wiedział, „co będzie“— jeśli pytał, to tylko przez delikatność, dla zwyczaju.

W parę dni potem klient odbierał pozew z sądu, a następnie kopię wyroku, jeśli się dało, „z tymczasową egzekucją.“ Robił się gwałt; szlachcic jechał do Mordki o prolongatę, ale go nigdy zastać nie mógł. Niepotrzebnie jeździł, bo wkrótce Mordka sam zjawił się u niego z komornikiem.

Pierwszy raz przyjeżdżał tylko tak na... strach. Jeśli szlachcic zapłacił koszta, dał mu kilkanaście korcy zboża na procent, to Mordka nie robił zajęcia, ale wracał spokojnie do domu.

Za drugim razem bywało gorzej. Mordka był bardzo zagniewany, nie chciał już czekać, nie chciał procentu, żądał choć połowy kapitału. Właśnie córkę wydawał za mąż, potrzebował na posag. Szlachcic nie miał. Wtedy Mordka prosił p. kamornika o czynność...

Nieświadomi sądzą, że czynność zajęcia nie wymaga nauki...

A od czego „wyłączenie"? Mordka znał się na tem.

Nie zajmował też nigdy inwentarza roboczego, bo to jest nieruchomość z przeznaczenia, słomy nie tykał, zboże wolał wymłócone, niż w snopie, a najbardziej lubił „zajęcie" we dworze. Meble garderobę, czasem trochę srebra i biżuterji pani. Bez takich rzeczy gospodarstwo obyć się może i „wyłączenie" trudniej zrobić. Z inwentarza najbardziej lubił konie wyjazdowe, stadninę, owce, jałowiznę; fornalki „opisywał" tylko z konieczności; ekwipaże, pojazdy, aparaty gorzelnicze bardzo mu przypadały do gustu.

Zdarzało się najczęściej, że Mordka z komornikiem zjeżdzali do szlachcica, gdy ten miał gości. Mordka, uwiadomiony przez pachciarza, z umysłu wybierał tę chwile. Miał swoje wyrachowanie. Może który z gości zapłaci? może poręczy?

— Pan dobrodziej ma tylu znajomych — mówił wtedy — może który z panów... Ja będę czekał.

Prawda, że teraz „o dobre serce" trudno i najczęście nadzieja poręczenia zawiodła. Ale Mordka zrobił swoje; nie chciał szlachcica niszczyć. Skoro jednak panowie dla panów nic nie chcą zrobić — to cóż on, biedny żydek, na to poradzi!

Rozpoczynało się „zajęcie". Mordka wzdychał od tej przykrości, ale do każdej szafy zaglądał, każdą suknie oceniał, komody pieczętował, kanapy, siadając, próbował. 2

Jeśli przypadkiem szlachcic miał jeszcze trochę zboża, a bardzo prosił, to Mordka jeszcze ustępował, a przynajmiej nie szedł do dworu, tylko w oficynie przy świadkach spisywał z komornikiem protokół dyktowanych przez szlachcica przedmiotów. Wierzył na słowo... Nie chciał robić „szykany".

Ale to była dopiero połowa roboty. Przyszedł termin licytacji, prolongował raz, drugi... trzeci Nie było rady! dłużej już czekać nie mógł. Trzeba się było starać o licytantów, o furmanki pod rzeczy czasem „cichy" układ zrobić, żeby kto targu nie zepsuł...

Kto tego nie widział, nie może mieć pojecia, co to za robota! A ile nieprzyjemności, że człowiek upomina się o „swoje!" Czasem potrzeba potem wnosić skargę do sądu o obelgi wszystkich gatunków, czasem i tego nie można, gdy świadków niema.

Mordka do dziś pamieta i dzieciom opowiada, jak przyjechał do Wilczych Dołów z gotowym wyrokiem na pięćset korcy pszenicy.

Dziedzic był kawalerem, mógł się jeszcze ożenić, więc Mordka z grzeczności chciał zrobić układ. Ludzki był. Przyjechał na noc. Dziedzic go prosił, żeby przenocował; obiecywał rano zrobić rachunek, zapłacić procent. Mordka nocował, rano poszedł do dworu Szlachcic prosił go na herbatę do kancelarji. Zasiedli obaj u jednego stołu, przyniesiono samowar, taki duży że cały kahał mógł pić z niego. Wypili po jednej szklance, po drugiej, Mordka prosi, żeby zacząć rachować...

— Mamy czas! napij się jeszcze—mówi szlachcic.

Mordka wypił trzecią szklankę; szlachcic nalewa czwartą. Wypił czwartą, szlachcic leje piątą...

Mordka dziękuje.

Pij piątą, proszę—woła szlachcic.

Mordka wypił jeszcze, ale miał już za dużo Szlachcic leje szustą.

Mordka nie chce. Szlachcic prosi gwałtem: „Pij, panie Mordka. Czy ci herbata nie smakuje?" i drzwi

na klucz zamyka. Mordka wypił szustą, siódmą przy zamkniętych drzwiach. Szlachcic jeszcze nalewa. Mordka już nie może... mówi „że mu doktór zakazał."

— Głupstwo! doktorzy! — mówi szlachcic, podsuwając ósmą szklankę,

Mordka już na prawdę nie może ale szlachcic wyjął z biurka „coś", z czego się strzela sześć razy, raz po razu, schowane w skórzanym futerale, i znów prosił Mordki żeby pił. Sam mu nawet osłodził. Mordka spojrzał na to „coś", wypił... i jeszcze wypił W takiem miłem towarzystwie można wypić całą mykwę herbaty!

Dopiero przy piętnastej szklance szlachcic spytał o wyrok, zaczął układy. Mordka przystał na wszystko, bo potrzebował co prędzej wyjść na dwór. Podpisał prolongatę na cały rok bez procentu... a w dodatku przyjechawszy do domu, musiał posyłać po doktora.

Radzili mu, żeby dziedzica z Wilczych Dołów zaskarżył o „gwałt". Nie usłuchał, bo gwałtu nie było... Szlachcic *prosił* tylko, żeby pił herbatę, a że drzwi zamknął, bo się bał przeciągów. Wprawdzie było „coś" w futerale zeskóry, ale szlachcic sam mu później opowiadał, że to była *angielska rękawiczka.* Zresztą nie było świadków, był dobrowolny układ w cztery oczy

Czyż nie należy pracy, dokonanej z nadwyrężeniem zdrowia, uważać za ciężką?

Po tym wypadku Mordka Echt już nigdy sam nie jeździł na układy, lecz brał dla towarzystwa Kiwę Bobika, faktora, a nawet częstokroć zwierzał mu prokurę asysty przy „zajęciach".

Niemniej trudnym, choć mniej niebezpiecznym wydziałem pracy Mordki bywała subhasta. Pracy tej chwytał się Mordka tylko w ostateczności, w obawie symulacyjnej sprzedaży lub spadnięcia z hypoteki. Najczęściej sumy hypoteczne ustępował. Jeśli jednak,

koniecznością zmuszony, prowadził interes na własną rękę, wtedy starał się przedewszystkiem, aby licytacja nie szła zbyt wysoko, bo po co duży stempel płacić!

W razie relicytacji, gdy się zjawi, jaki zapalony konkurent, Mordka *puszczał*. Nie był łakomy na ziemię, chodziło mu tylko o odebranie swoich pieniędzy.

Kiwa Bobik.

Co tam *faktor*—pomyśleć ktoś gotów.

Przepraszam, faktor w interesie to grunt, a jeszcze taki faktor, jak Kiwa Bobik, to już nie *faktor*, to *osoba!*

Kiwę Bobika zna cały powiat, cała gubernia, a choć on nie jest kupcem żadnej gildji, ma poważanie i szacunek, nawet w kahale zasiada.

Co Kiwa robi?

Na oko niby nic. Stoi przed zajazdem w Pułtusku i patrzy. Żołnierz na warcie także stoi i patrzy, pułk kawalerji w asekuracji dział postawiony także się z miejsca nie rusza, tylko patrzy, a proszę spytać, czy wartownik, czy pułk nie pracuje?

Kiwa Bobik pracuje nie stojący, ale gotów zaraz i nogi, i głowę, i język w ruch puścić, skoro się interes trafi.

Bywało, przyjedzie szlachta na jarmark do Pułtuska. Ten chce sprzedać żyto, ten pszenicę, ów groch; jeden chciałby pożyczyć pareset rubli, drugi zborgować koniczyny do siewu, inny jeszcze szuka ekonoma lub pisarza prowentowego. Każdemu pilno, każdy chciałby jak najprędzej wrócić do domu. Pilna robota potrzebuje pomocnika; cztery ręce więcej zrobią, czworo oczu lepiej zobaczy. Kogo szlachta ma sobie wziąć do pomocy? może stangreta, zwyczajnego „grundala“ ze wsi?

Przysłowie mówi, że lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć...

Przysłowia mądrością narodów. Jest jeszcze inne starsze, bo łacińskie przysłowie (widocznie i za rzymskich czasów istniała instytucja faktorów), opiewające. *tres faciunt colegium*, co się na polskie tłómaczy, że „do dobrego interesu potrzeba trzech osób": szlachcica, kupca i faktora. Bez tego nie będzie *colegium*.

Tam, gdzie jeden chce pożyczyć, a drugi ma dać pieniędzy, gdzie jeden chce sprzedać, a drugi kupić, jeden żąda pięć, a drugi daje cztery, musi być koniecznie ktoś trzeci, co zrobi zgodę i *każe* brać półpięta.

Taką właśnie trzecią osobą jest *faktor*, taką bywał Kiwa Bobik, perła faktorów.

Czy to sprzedaż paruset par zboża, czy kawałka lasu, czy pożyczka hypoteczna, czy na prosty kwit, nic bez jego pomocy nie mogło przyjść do skutku.

Jeżeli Mordka Echt miał w głowie całą encyklopedję wiadomości, to Kiwa Bobik miał ją w poprawnem wydaniu z ilustracjami. Znał nietylko szlacheckie, ale i kupieckie interesa. Wiedział np., że Judka Majbaum wziął dostawę owsa dla wojska, że potrzebuje kupić kilka wagonów, wiedział również, że p. Ignacy potrzebuje pieniędzy na procent dla Nuchima Cwajkorna, wiedział także, że p. Ignacemu w tym roku owies się udał...

Z tych trzech wiadomości zrobił Kiwa jedną hurtową wiadomość. Najpierw doradził p. Ignacemu, żeby Cwajkornowi dał owsa w procencie, a następnie namówił Cwajkorna na sprzedaż owsa Majbaumowi. Zrobił wszystkim wygodę. Po pierwsze, szlachcic nie potrzebował szukać pieniędzy, dawał surowy produkt zamiast gotówki, mógł przeto o kilkanaście kopiejek na korcu taniej liczyć, powtóre Cwajnkorn odbierał procent bez kłopotu, bo się przed tem z Majbaumem o sprzedaż owsa umówili; po trzecie Majbaum bez kłopotu i jazdy po dworach, nabył potrzebną ilość owsa.

Od wszystkich trzech należało się Kiwie słusznie *faktorne*, ale że p. Ignacy doświadczył podwójnej

grzeczności, że upiekł dwie pieczenie na jednym rożnie, bo i owies sprzedał i procent za jednym zachodem uiścił, przeto musiał podwójnie, od każdego interesu z osobna, zapłacić.

Mordka niewiele brał. Jeden procent od obrotu.

Po za grubym *geszeftem* robił Kiwa Bobik jeszcze pomniejsze grzeczności szlachcie. Stręczył służbę. Przecież najzawołańszy myśliwy nie gardzi drobną zwierzyną. Jeżeli nawet o sam strzał chodzi tylko, to trudniej trafić do dubelta niż do rogacza.

Ma Warszawa swoje kantory, ma „kontrolę służących", Pułtusk tego wszystkiego nie posiada, ale ma za to Kiwę Bobika, w którego głowie jest osobny wydział stręczeń ku wygodzie mieszkańców okolicy.

Ma on zapisanych ekonomów, rządców kucharzy, gospodynie stangretów, lokajów, ogrodników. Wybór wielki, a że Kiwa wie, co komu potrzeba, odrazu więc odpowiedniego osobnika stręczy.

Pan Janusz płaci Ekonomowi tylko sto rubli, więcej dać nie może. Kiwa ma właśnie takiego. Bardzo porządny człowiek, na roli się zna jak rzadko, nawet krew umie puszczać. Bardzo porządny człowiek.

— Będzie wielmożny pan z niego zadowolony— zapewnia—żeby chciał, toby mógł rządcą w dużych dobrach zostać, taki zdatny!

Ekonomowi zaś prawi na ucho:

— Niech pan bierze co się trafia tymczasem... Ja wiem, że pan nigdzie długo siedzieć nie lubi. Tymczasem dobre i to! Pensja wprawdzie mała, ale można dorobić... Ja pana poznam z Joskiem Szczypiorkiem, on z panem Januszem handluje... bardzo porządny kupiec i zna się na rzeczy.

Potrzebuje p. Henryk gospodyni; zwyczajnie kawaler, do kobiecego gospodarstwa. Kiwa ma właśnie taką. Nie stara jest, nawet jej się dobrze za mąż trafiało, ale nie chciała... przywykła po dworach służyć.

Szukał p. Jan ogrodnika. Jest niedrogi, miał nawet patent ze szkoły ogrodniczej, ale zgubił. Nie

potrzeba daleko szukać. Kiwa ma każdej służby dostatek, nastręczy, umówi, ugodzi, na stół, czy na ordynarję i bez subiekcji obie strony kontrakt piszą. Kiwa byle czego nie proteguje; jego ludzie mają zawsze dobre świadectwa, a że się czasem który w nowej służbie popsuje, trudno. Najlepszy koń znarowi się niekiedy,

Ulubionem zajęciem Bobika są także „sprawunki."

Kiwa załatwia sprawunki na poczekaniu i z zamiłowaniem, nie dla zysku, dla rabatu... Boże uchowaj! ale przez dziedziczną żyłkę, przez atawizm handlowy. Jego ojciec miał sklep bławatny, ale zbankrutował. Kiwa sklepu nie ma, ale kupować, targować bardzo lubi i zna się na towarze, każdemu do gustu utrafi i wygodę niemałą zrobi.

Przyjechał dziedzic z Wydmuchowa do Pułtuska, miał na głowie tysiące interesów, szczęściem, że Kiwa przypomniał: „a nie ma wielmożny pan jakiego sprawunku?" bo byłby na śmierć zapomniał o imieninach żony, o prezencie...

Kiwa przypomniał. Zaczęli radzić... uradzili kupić na suknie. Kiwa podjął się załatwić sprawunek, skoczył na jednej nodze i za mały kwadrans czasu przynosi sztuczkę niebieskiej materji, w najlepszym gatunku, z plombą zagraniczną.

Dlaczego wybrał niebieską? dlaczego nie żółtą lub różową?

Kto inny, człowiek bez gustu, bez delikatnego smaku, byłby może tak zrobił ale Kiwa nie. On wiedział, że dziedziczka z Wydmuchowa ma ładne blond włosy, wiedział, że blondynkom w niebieskiem do twarzy. Jeśli więc solenizantka była zadowoloną z prezentu, czyja w tem zasługa jeśli nie Bobika?

Czy uśmiech żony nie wart jest pół rubla, który Kiwa dostał za fatygę? Takie *znawstwo* warto dużo więcej! ale kiwie o zapłatę nie idzie, tylko o honor, że szlachcie służy.

Miał też Bobik, w dzień jarmarczny zwłaszcza, niemało roboty ze „sprawunkami.“ Głowę cukru, bańkę oliwy do maszyny, trzewiki dla dzieci, łańcuchy dla bydła, kilka funtów ładnej zrazówki, kamień mydła, czy bułek, wszystko *sprawiał* Bobik, a na wszystko czasu mu starczyć musiało.

Między jedną a drugą tranzakcją zbożową, przy której jego obecność była konieczną, wypadał z *konotatką* na miasto, biegał od sklepu do sklepu i znosił do zajazdu paczkę za paczką z towarami. Nawet pomagał furmanom na wyjezdnem pakować. Na wszystko czas znalazł, czasami tylko gdy nie mógł swego stanowiska faktorskiego przy tranzakcji zbożowej opuścić wyręczał się żoną, która także była znawczynią i handlowała losami.

„Na to kura grzebie, żeby wygrzebała“—mówi przysłowie, nic dziwnego przeto, że i Bobik przy tak usilnej *pracy* musiał mieć trochę dochodu. Każdy żyć potrzebuje.

Zazdrośni mówili, że Bobik ma już kapitał ale on się zaklinał na wszystko, że ledwie wyżyć może. Miał dochód, to miał wydatki. Nie był łapserdak, potrzebował się ubrać porządnie, w atłasowy chałat, bo przecie nie z chamami miał do czynienia, tylko ze szlachtą. A na same buty co wydał!

Zresztą—co komu do cudzej kieszeni?! Miał, to miał, bo zapracował, cały powiat zaświadczy o tem i kupcy pułtuscy potwierdzą.

Takim był Kiwa Bobik, faktor, bliski kuzyn *Szlomy Süskinda*, najgrubszego pieniężnika w Pułtusku, którego biografię, pracowity żywot i usłużność dla społeczeństwa postaram się skreślić, w miarę sił i zdolności.

Szloma Süskind.

Jeśli Mordka Echt i Kiwa Bobik w swej działalności publicznej potrzebowali skupiać ducha, aby omyłki nie popełnić, to praca *Szlomy Süskinda* jeszcze większej wymagała baczności, wprawy i szybkiej orjentacji w położeniu, a to z tej przyczyny, iż interesanci jego nie mieli co sprzedać, ani za co kupić, a jednak przychodzili po towar, towar najlepszy, najdelikatniejszy, po pieniądze, innemi słowy, przychodzili zaciągnąć pożyczkę.

Przysłowie mówi: „nie pożyczaj, dobry zwyczaj" — ale Szloma Süskind miał za dobre serce, aby się tak egoistycznej maksymy trzymać. On chciał pożyczyć — ale chciał zarazem odebrać i w tem właśnie leżała cała trudność, całe ryzyko.

Ale „główka" poradzi na wszystko.

Przedewszystkiem Szloma Süskind miał sporządzoną całą listę obywateli, rodzaj rysopisu kredytowego, z którego jasno widział, co kto wart. Listę tę co rok uzupełniał: jednych wykreślał, drugich wpisywał, w „uwagach" dopisując, na jaki termin i za jakim procentem pożyczka dana być może.

Na termin mniej zważał, lecz co do procentu był nieugięty, a że lubił równy rachunek, przeto oznaczał procenta bez ułamków, w cyfrach łatwych do mnożenia i dodawania.

Dwa, trzy, pięć, czasem sześć na miesiąc z góry;

niżej dwu procent nie brał od nikogo z zasady, że i w tabliczce Pitogaresa rachunek dopiero od „dwa a „dwa cztery" się rozpoczyna.

Z takim, jak pieniądz, towarem prosić się nie trzeba, nigdy też Szloma po dworach nie jeździł, nawet na rynek pułtuski w dzień jarmarczny nie wychodził. Siedział w izbie, czytał książkę nabożną, wiedząc, że każdy do niego trafi.

Ale trafić do Szlomy nie było tak łatwo, choć dom jego znało każde dziecko w Pułtusku. Dlaczego? Zaraz opowiem.

Nim kto się dostał do Szlomy Süskinda, musiał się poddać sprawdzeniu tożsamości osoby, sprawdzeniu w dwóch instancjach.

Pierwszą instancją był znany nam już Kiwa Bobik, on doprowadził interesanta do drugiej instancji, do żony Süskina, zwanej przez szlachtę popularnie „ciotką".

Kto się już do „ciotki" dostał, mógł mieć niejaką nadzieję, że obietnicą „porękawicznego" uzyska wstęp do kapitalisty. Czasem jednak pani Ryfka wręcz odmawiała.

— Niech się pan dobrodziej nie fatyguje, bo mój nie ma pieniędzy.

Jeśli jednak przyprowadzony osobnik był „dobry", wtedy „ciotka" prosiła siedzieć, wypytywała się o termin, o rozmiar pożyczki, o wysokość procentu i już obrobionego gościa wpuszczała do drugiej izby, w delikatnym żargonie anonsując mężowi o odbytych pertraktacjach.

Następnie Kiwa rozpoczynał adwokaturę.

Szloma Süskind po wysłuchaniu stron zaglądał jeszcze dla pewności do rysopisu, następnie rozpoczynały się finansowe kalkulacje.

Najczęściej nieszczęśliwy traf, zrządzał, że Szloma jak raz *swoich* pieniędzy nie miał, ale że chciał koniecznie wygodzić, to da pieniądze nieletnich, które mu kahał w opiekę powierzył.

— Tylko, żeby jakiego kłopotu nie było — ostrzegał — bo ja potrzebuję oddać te pieniądze w terminie.

Upewniony, rozpoczynał przetarg o procent.

Gdyby Szloma miał swój kapitał, dałby z pewnością na dwa, nawet na półtora na miesiąc, ale to sierocy grosz, to cały majątek małoletnich, więc nie może brać niżej trzech.

Kawałek kredy ułatwiał rachunek.

Trzy procent od 500 rubli wynosi miesięcznie 15 rubli, a że pan dobrodziej potrzebuje pieniędzy na 6 miesięcy, więc przypada 90 rubli, że jednak pan dobrodziej procentu z góry nie zapłaci — mówił — to potrąciwszy równe sto rubli, ja dam panu dobrodziejowi czterysta rubli *bares Geld*,, a kwitek będzie na pięćset.

Rachunek prosty, równy i rzetelny. Szczęśliwe dzieci, które takiego opiekuna dostały!

Szloma wiedział z góry, że szlachcic zgodzić się musi, przeto wyjmował weksel, nie oczekując odpowiedzi; Kiwa potakiwał, Ryfka potakiwała, zaczynało się pisanie.

Szloma weksel oglądał, piaskiem zasypywał, raz i drugi czytał, aż przekonawszy się, że żadnej omyłki, nie ma, że najwyraźniej *stoi* napisane: „walutę w gotowiźnie odebrałem“, wyjmował pieniądze i liczył. Dał trzy stówki całkowite, a czwartą „drobnemi“, żeby szlachcic ze zmianą subiekcji nie miał.

Teraz ciężko w Pułtusku sto rubli zmienić.

Czasem mu do ostatniej stówki brakowało dwa lub trzy ruble. Dołoży innym razem.

Szlachcic, mając „drobne“, regulował swoje zobowiązania na miejscu. Dał pięć rubli Kiwie za faktorne, drugie pięć *ciotce* porękawicznego, a resztę trzysta dziewięćdziesiąt chował do kieszeni.

Kiwa asystował mu do zjazdu, proponował „sprawunki“, utrzymując, że zrobił świetny interes“.

— Na trzy procent! kto teraz daje! To tylko

przezemnie zrobił Süskind dla jaśnie pana takie ustępstwo. Ona zawsze bierzę pięć... Paskudnik!

Teraz pytanie, czy Szloma wziął trzy procent?

Dał naprawdę 395 rubli, a wziął od tego za pół roku razem z Ryfką 105 rubli. Rachunek szlachecki powiada, że to jest 36% rocznie, żydowskie sprawiedliwe obliczenie mówi inaczej. Ono mówi: jeśli 395 rubli daje na pół roku 105 rubli, to da na cały rok 210 rubli, a jeśli da na cały rok 210 rubli, to wypada od 100 rubli 53 ruble z kopiejkami.

Tak mówi sprawiedliwy rachunek Szlomy—ale on nie ma obowiązku nikogo uczyć matematyki, od tego są szkoły.

Zdarzało się jednak, że mimo protekcji „ciotki", interesant pożyczki zaraz nie dostał. Szloma miał wątpliwości, potrzebował grunt zbadać dokładnie. Tłómaczył się wtedy przed szlachcicem, że na razie pieniędzy nie ma, że będzie *szukal* i na przyszły tydzień z pewnością obiecywał. Czasem „przyszły tydzień" trwał dwa i trzy tygodnie, dopiero gdy Süskind widział, że szlachcic już *doszedl*, że się na wszystko zgodzi, pieniądze się znajdowały, ale za swoje szukanie brał już nie trzy, ale cztery procent, zawsze na miesiąc.

Szloma nie lubił rachować na lata, wolał krótszy termin. Rok to kawał czasu, a nie wiadomo kto jutra dożyje.

Do trudniejszych operacyj należały pożyczki na dwa podpisy. Trudno żyranta wozić w kieszeni Wtedy Szloma. wchodząc w położenie, brał pełny weksel z jednym podpisem, dając zaliczkę, skoro zaś szlachcic przywiezie inny weksel z dwoma podpisami — niech będzie „mamy" lub „żony„ — obiecywał dopłacić resztę. Przywiózł szlachcic drugi podpis, najrzetelniej według umowy dopłacił; nie przywiózł, to już Szloma ryzykował, zatrzymywał pierwszy papier, ale nie dopłacał ani grosza.

Zaliczki nie przenosiły 25% wypisanej sumy. Duże ryzyko potrzebuje dużej nagrody.

Dzięki powyższym kombinacjom, Szloma nigdy stratny nie był, nigdy nawet od siebie szlachty nie procesował. Trafiło się, że dłużnik nie płaci; Szloma pisze list jeden, drugi, trzeci, w końcu donosi, że pieniądze były nie jego, że dłużej czekać nie może i *puści* w drugie ręce.

Takich „rąk drugich" miał Szloma kilka par. Miał ręce Herszlika Grünbauma, Bajnisia Rozbitka, Majorka Gutenachta i wielu innych.

Ręce procesowały, posłały komornika, urządzały licytację ruchomości i robiły wpis hypoteczny.

Gdy zrozpaczony dłużnik, otrzymawszy pozew, zjawiał się u Süskinda, ten ubolewał nad łajdactwem „rąk". Odstąpił im weksel, to prawda, bo potrzebował pieniędzy, ale sobie wymówił, że będą czekać do „nowego" z odbiorem" pieniędzy, nawet im z „sumy" ustąpił. Ale te paskudniki! nie dotrzymali słowa i poszli na sąd... Taki już świat, nikomu wierzyć nie można! Szlomie było bardzo żal, że się tak stało, ale poradzić nic nie może, bo zrobił formalną *cesję*...

W ten sposob Szloma Süskind odbierał swoje pieniądze, nie narażając się szlachcie. Czy takie „złote serce" nie warto nagrody? Czy kto może powiedzieć, że Szloma go stradował? że mu sprzedał inwentarz albo meble?

Gdy nadeszły czasy gorsze, gdy się w sądach coś popsuło i zaczęto obliczać procent choćby dopisany — kiedy się trafiły parę razy „świadki" z zarzutem o lichwę... Szloma Süskind wynalazł nowy sposób nie naruszający ustawy przeciw lichwie i zrobił małą poprawkę w liście swych przypuszczalnych dłużników.

Wybrał najniepewniejszych i do nich właśnie swój nowy sposób stosował. Sposób był łatwy i prosty, bo każda wielka kombinacja odznacza się prostotą.

Potrzebował *niepewny* p. Hilary tysiąc rubli na trzy miesiące; z „nowego“ odda. Zgoda. Szloma pieniędzy da. Umówili się o procent. Pięć na miesiąc, to razem sto pięćdziesiąt rubli. Szloma wypłaci p. Hilaremu pozostałe ośmset pięćdziesiąt rubli, nawet wekslu nie chce. Wystarczy zwyczajny papier na stemplu, prosty kwit, tylko mu p. Hilary napisze te słowa:

Ja niżej podpisany przyjąłem od p. Szlomy Süskinda tysiąc rubli w gotowiźnie na przechowanie, jako depozyt, który obowiązuję się za trzy miesiące od daty dzisiejszej na każde żądanie zwrócić“.

Następował jeszcze podpis, data i koniec.

Süskind nie pożyczał, on tylko dawał w *depozyt* p. Hilaremu, bo się bał złodziejów i nie chciał pieniędzy u siebie trzymać. Jeśliby p. Hilary *depozytu* w terminie nie oddał, to już inna sprawa; „sprzeniewierzenie się“ i „roztrwonienie“, to nie jedna akcja, ale całkowite dwie akcje: cywilna i kryminalna.

Komentarz zbyteczny. Ktoby chciał w takie brudne sprawy wchodzić? Nikt. Dlatego też Szloma Süskind wiedział, że bez naruszenia ustawy o lichwie, bez „rąk drugich“, swoje pieniądze w terminie odbierze.

Wymyślić taki prosty, łatwy sposób, nie każdy może. Do takiego pomysłu trzeba mieć „głowę“ i dobrze ją naładować. A czy „łamanie głowy“ nie jest *pracą*, ciężką *pracą*?

. . . .

Wybrałem na „model“ najgrubsze ryby z pośród pracowników żydowskich z trzech najrarytniejszych gałęzi pracy, wybrałem zaś dla tego, że olbrzymi rozmiar ich pracy, uderzająca zabiegliwość i fachowość, służąca za przykład innym, wszędzie naśladowców znajduje. Nie tylko w Pułtusku, ale w Będzinie, Stopnicy, Tomaszewie, Rawie, Gostyni-

nie, Łęczycy, Mławie, Chęcinach, wszędzie, „gdzie śliczny żargon rozbrzmiewa", kwitnie zarazem praca takich Mordków, Kiwów i Szlomów.

Z kolei przechodzę do skreślenia mniej głośnych choć niemniej wybitnych pracowników, których demokratyczne usposobienie skłania do *pracy* wśród ludu wiejskiego

---

Fajbuś Meloch.

Dla uniknięcia naśladownictwa, nie pójdę wzorem Korneliusza Neposa, który jak wiadomo, rozpoczynał życiorysy od rodowodu .. *Hannibal Hamilcaris filius Cartaginiensis*... — lecz zdobywając się na oryginalność swojską i zaoszczędzając sobie zarazem niepotrzebnej fatygi, poprowadzę cię czytelniku pod trzy mosiężne talerze, abyś na własne oczy odczytał następujący szyld:

FAJBUŚ MELOCH.
starszy felczer
Bańki i pijawki suche i cięte
SALON
Strzyżenie i golenie według
pierwszej mody
Rwie zęby.

Wymowny ten szyld starczy za wszystkie legitymacje i daje niejako przedsmak człowieka, co herbowej tarczy używa. Wprawdzie na znaku firmowym z trzema mosiężnemi talerzami pominięto kilka biograficznych szczegółów, jak: puszczanie krwi, djagnoza wad uwalniających od wojskowości, operacja wszystkich części ciała, tani sposób przyrządzania leków

lecz wejście do środka świątyni Hygei i ujrzenia z blizka całego aparatu leczniczego, dobełnia reszty szczegółów, które z powodów od Fajbusia Melocha niezależnych, nie mogły się na szyldzie pomieścić.

Postarałem ci się, czytelniku, o audjencję na czwartek, w dzień jarmarczny, kiedy Fabjuś Meloch przez cały dzień *przyjmuje*.

Chodźmy.

Na środku obszernej izby stoi właśnie Fajbuś Meloch we własnej osobie, przyodzianej w poplamiony surdut z zawiniętemi rękawami. W ręku trzyma zegarek, patrzy i spluwa. Na drewnianym tapczanie leży krzyżem do góry baba, wzdychając żałośnie. Zupełny negliż górnej części kobiecej postaci pozwala nam dojrzeć plecy ugarnirowane szeregiem baniek.

Babina stęka, Fajbuś wodzi obojętnem okiem i spluwa raz po raz. Wreszcie zbliża się do tapczana i z powagą definiuje:

— No! Wojtkowa! będzie już!

— Jeszcze krzynkę — prosi stękająca baba.

— Chcielibyście. żeby wam za głupie 30 kop. cały kwartał bańki na plecach trzymać?

— Choć jeszcze z paciorek! aż mi się ulży. Widzi mi się że na prawym boku jeszcze nie zebrały.

— Dorzućcie 5 kopiejek.

— Kiej nie mam.

— No to dajcie kilka jajek. Nie bądźcie Wojtkowa skąpi. Pierwsze zdrowie jak pieniądze—wyrokuje Fajbuś i nie czekając odpowiedzi, wyjmuje z postawionego na tapczanie koszyka kilka sztuk kurzego owocu.

— Poleżcie sobie jeszcze chwilkę — mówi.—Ja tymczasem *poradzę* Jaśkowi.

I przy tych słowach zwraca się do świeżo przybyłego pacjenta.

— Co wam to, Janie? Czyście się, nie daj Boże! z kobiętą przemówili, że wam tak gęba spuchła?

— Kaj tam! zębska bolą i tyla!

— *Fluks!* Zaraz zobaczymy. Siadajcie.

Usadowiony na drewnianym zydlu chłop roztworzył szeroko gębę i czeka na wyrok eskulapa. Fajbusiowi nie pilno. Zajrzał raz, zajrzał drugi obcążkami postukał w zęby, aż chłopu świeczki w oczach stanęły.

— Źle, mój Janie! takich zębów jak żyje nie widziałem! Zwyczajnym lewarkiem nie wyjmie...

— To cóż będzie?—pyta zastraszony pacjent.

— A czy ja wiem... Chybabym wziął prawdziwy *angielski* instrument—pociesza po namyśle doktór.

— A wejźcie, ino prędko! Bo aż mnie w ślepiach strzyka...

— A jak mi się zepsuje instrument, to kto zapłaci?

Zapłacę! Fajbuś! zapłacę, jeno rwijcie bez targu..

— Dacie pół rubelka?..

— Tylko 40 kop.—targuje się jeszcze chłop.

— Taniej niż 45 kop. nie wezmę. Chcecie? dobrze. Wasza wola—upiera się Meloch.

— Niechże już będzie po waszemu! jeno nie żałujcie ręki—jęczy zmordowany bólem chłopek.

Rozpoczyna się operacja. Angielski lewarek niby kowalskie obcęgi, kierowany wprawną ręką Fajbusia, chwyta ząb delikwenta, Fajbuś przymróżywszy oczy ciągnie z całych sił, aż chłopu sustawy trzeszczą... Wreszcie głośne „*Oj! oj!*“ zwiastuje tryumf dentystycznej wprawy Fajbusia.

— Patrzcie, co za kieł!—chwali się operator, podając pacjentowi zakrwawiony szczątek. — Nie miało was bolić? Dziura na trzy palce...

— Oj! oj! — stęka właściciel kła.

— Nie jęczcie, Janie! tylko dziękujcie Bogu, żeście się z mojej łaski takiego rozbójnika pozbyli. A teraz dajcie pół rubelka i rzućcie tyłem ząb na piec. Gębę obwiążcie chustą i jedźcie do domu.

Porada skończona. Fajbuś biegnie do baby,

odrywa bańki, a tymczasem już i trzeci pacjent zjawił się po poradę—baba z małem dzieckiem.

Fajbuś obrzuca wprawnem okiem przybyłą włościankę, z odzieży wnioskując o wysokości dyet. Je- i przegląd wypadł pomyślnie, podsuwa stołek mówiąc:

— Siadajcie, gospodyni! a co to powiecie?

— Dziecko mi słabuje. Cosik mu się stało. Czy aby nie „urok"?

— Zaraz zobaczymy—mówi doktór—z całą powagą bierze maleństwo za rękę i bada puls patrząc na zegarek.

Pokręcił głową.

— Źle jest.

— Olaboga! radźcież co, panie Fajbuś!

— Zaraz. Co nagle, to po djable. Z dzieckiem trudniej, niż ze starym, bo ono przecie nie powie co mu jest, trzeba wszystko we własnej głowie ułożyć... Mogą być „krosty"...—dodaje po namyśle.

— Adyć szczepione łońskiego roku — oponuje chłopka.

— To może zęby, albo z „pokarmu". Pokażcie no gospodyni język...

Babina spełnia rozkaz. Fajbuś z namaszczeniem dotyka palcem, przygląda się różowym mięśniom chłopki, wreszcie z widocznem zadowoleniem wykrzykuje:

— A co, ja zaraz mówiłem, że to z „pokarmu!" Widzieliście wasz język? jak w błocie umazany... Choroba siedzi u was we wnętrzu, a dziecko z pokarmem ją wyssało. Ale na to jest rada. Dziecku dam miksturkę własnej roboty... „ulepek!" będzie wasz kosztowało 18 kopiejek...

— Spuśćcie już na równe 15...

— Nie targujcie się, tylko słuchajcie! A wam postawię cztery „świeże" pijawki pod piersiami, to tę gorycz z pokarmu odciągną...

— A możeby i dziecku?—proponuje chłopka.

— Dziecku nie trza! Będziecie mieli ulepek

Dawać po łyżce trzy razy dziennie; jak wam zabraknie, to przyjdziecie do mnie. No chodźcie do drugiej izby, tam wam „moja“ postawi pijawki i będzie po gwałcie... Zapłacicie 55 kopiejek z ulepkiem.

Chłopka w drodze do sali operacyjnej chciałaby się jeszcze targować, ale Fajbuś nie daje jej przyjść do słowa, popychając przed sobą.

— Nie barłóżcie! nie barłóżcie. Jeszcze wam drogo? świeże pijawki jak smoki!

Takich konsultacji ma Fajbuś w dzień targowy kilkanaście, a załatwia się z poradą szybko i wprawnie. Kołtun, strzykanie, kolka, choroby dziecięce, czy kobiece, wszystko to leży w zakresie medycznej wiedzy Melocha.

Między jedną a drugą operacją, czy poradą ruchliwy medyk przemienia się we fryzjera i golibrodę, bo przecież ma razurę. W odłamie tej pracy wyręcza się wprawdzie dwoma synami „uczniami“, zdarza się jednak, że i własnej ręki dokłada, robiąc „poprawki“ po niedość biegłych elewach. Do golenia wprowadził Fajbuś swój system, oparty na podziale pracy.

Wiadomo, że golenie składa się z namydlenia i samego golenia, wiadomo również, że twarz męzka ma dwie strony, prawą i lewą, i że obie zarastają, a równocześnie golone być nie mogą.

Z tej zasady wychodząc, obsługuje Fajbuś swą klientelę w następujący sposób, zwłaszcza przy liczniejszym napływie klijentów bardzo wygodny, bo nie dopuszczający dezercji. Usadowionym pod rząd brodaczom mydli jeden z uczniów najpierw jedną połowę brody, drugi zaś w miarę namydlenia goli, gdy się już z jednem policzkiem uporają, następuje odbiór zapłaty po *dwa czeskie* od sztuki, a następnie dopiero podobna operacja z pozostałą do golenia częścią twarzy. System powyższy ma podwójną zaletę: *a*) przeszkadza ucieczce klijentów i zabezpiecza regularny wpływ honorarjów, *b*) daje możność nie-

omal równoczesnego wykonania podjętych obowiązków.

Nadmienić jeszcze muszę, że kunszt fryzjersko-balwierski doprowadził Fajbuś do wysokiej doskonałości, śledząc bacznie za rozwojem tego fachu i wymaganiami mody. A i uczniowie godnie sekundują pryncypałowi ku zadowoleniu siermiężnych dandysów. Strzygą na *polkę* i na *jeża*, na żądanie, za osobną dopłatą, podgalają karki, nawet wąsy całkowicie zeskrobują brzytwą, co u osobników, zażywających tabakę, ma pewne estetyczne znaczenie. Prócz tego „faworyty" i „baczki", nieznane dawniej między ludem, wprowadzone zostały przez pomysłowego Fajbusia na ozdobę włościańskiej twarzy. Początkowo konserwatyzm chłopski walczył opornie z tą nowością Fajbusiowej mody, lecz w końcu uległ prądowi cywilizacji i w młodszej generacji głównie golenie całej przestrzeni twarzy uważane jest za brak smaku i nieznajomość wymagań mody.

Jeżeli *praca domowa* Fajbusia położyła gruntowne zasługi w dziedzinie hygjeny i ochędóstwa, to działalność poza domem stokroć więcej.

Wezwany do chorego Fajbuś, spełnia nietylko funkcję najbieglejszych lekarzy, lecz i aptekarzy zarazem biorąc z sobą torebkę, w której się mieszczą najskuteczniejsze środki lecznicze. Olej rycinowy, mięta, proszki na *womity*, pijawki, bańki,—wozi Fajbuś od przypadku z sobą, mając prócz tego w kieszeni paltota środki lecznicze *sekretne*, swego wynalazku i wyrobu, których jedynie w *cztery oczy* w wielkiej tajemnicy udziela.

Świat jest zły, mógłby ktoś złośliwy zrobić denuncjację i gotowy kłopot! Za co? za to, że Fajbuś oszczędza choremu fatygi posyłania do apteki. Przecież te *środki*, złożone z cukru, mielonej kawy, magnezji, cynamonu lub tureckiego pieprzu, nikomu zaszkodzić nie mogły — jeśli chory umarł, to pewnikiem z choroby, a nie z magnezji lub pieprzu. Tak

rozumuje Fajbuś, a że władza lekarska myśli inaczej to nie jego wina.

Dawniejszemi czasy pisywał Fajbuś i recepty po łacinie, lecz teraz wobec zazdrości świata medycznego, dał pokój. Udziela porad tylko słownych, a w pismo się nie bawi. Po co drugich uczyć? po co ma ślad Fajbusiowej mądrości na papierze zostawać?

Poza *praktyką zwykłą* uprawia czasem Fajbuś i *medycynę sądową*, namawiając pobitego chłopka, między jednym a drugim okładem zimnej wody, do podania skargi o obelgi czynne na napastnika.

— Macieju! — przedstawia — powinniście iść do sądu. Za taką podkowę pod ślepiami, jaką wam Wicek zrobił, powinien najmniej dostać trzy tygodnie! Nawet niełądnie dla was takie rozbójstwo darować! A co wam kłaków napsuł, aż strach!

— Juścić wodził mię za łeb po izbie — opowiada opatrywany Maciej — ale i ja go dobrze za ożydla ścisnąłem...

— Co z tego! Kiedy on wam siniaków narobił. Gębę macie podrapaną, jak rzeszoto i za dwie niedziele się nie zagoi. Ja na waszem miejscu nie puściłbym tego. Chcecie? to sam zrazu „podanie“ napiszę i świadkiem będę jakoście pokrzywdzeni...

— Ha no! niechby tak było. Tylko opiszcie tego zbereźnika dobrze!

— Nie bójcie się! Za pół rubelka będziecie mieli *galante* skargę, a jak przyjdzie świadczyć, to pamietajcie, Macieju, że każdego czas kosztuje...

— No! no! — potakuje, nakłoniony do rozprawy sądowej Maciej — niech tylko co *wyleci*, to ja nie od tego..,

Chociaż powiedzieć można wogóle, że praktyka Fajbusia Melocha poza domem otoczona była niejaką tajemniczością, to w poszczególnych wypadkach sekret był tak ściśle przez medyka zachowany, że nawet Lejzorowa nie była doń dopuszczoną. Prze-

zorność godna uznania, gdyż wiadomo, że babski język, długi język.

Do takich najzupełniej sekretnych czynności należało *sprawianie* przeznaczonych do poboru wojskowego popisowych.

Fajbuś, jako szczery miłośnik pokoju, rzecznik humanitarnych idei, o ile uznawał rozlew krwi z pomocą baniek ciętych lub puszczadła za pożyteczny dla dobra ludzkości, o tyle brzydził się bagnetem, szablą, kulą i innemi narzędziami, służącemi do tegoż samego celu. Ożywiony tak podniosłem uczuciem, z największą chęcią śpieszył radą i pomocą każdemu, kto się pragnął od zetknięcia z karabinem lub armatą uchylić.

Jak zegarmistrz, znający każdą sprężynę zegarka, potrafi czasomierz w ruch puścić lub zatrzymać, tak Fajbuś zatrzymywał zdrowie na życzenie interesowanego, aby go od większego kalectwa uchronić.

Środki, jakich używał do wzbudzenia objawów niezdatności, nie zawsze prawie odnosiły skutek co do ostatecznego celu, lecz o to Fajbusia winić nie można. On chciał dobrze, gdy *sprawił* kogo, to zaszczepiona wada na całe życie w organizmie pozostała, ale uparta komisja czasami i wadliwych brała.

Ostatecznie prawda wyznać każe, że po kilku mniej pomyślnych operacjach i dwóch denuncjacjach Fajbuś przestał przykładać się czynnie do utrzymania pokoju europejskiego, w rzadkich jedynie wypadkach, gdy o współwyznawcę chodzilo, i to za sutem honorarjum, podejmując się niekiedy na własne ryzyko rozbrojenia.

Odsunąwszy się od dzieł wojennych, rozwinął Fajbuś tem większą działalność sanitarno-fryzjerską w okolicy, kładąc główny nacisk na rozpowszechnienie wyrabianych własną ręką specyfików.

Napływ młodych lekarzy, dozór apteczny i zazdroszcząca zawsze powodzenia zawiść ludzka i na tem polu stawiały Melochowi przeszkód niemało.

Umiał je jednak obchodzić, jednając sobie klientelę „delikatną mową“, pewną poufałością z chorym, a nadewszystko jakością honorarjów, stosowaną ściśle do możności chorego.

Nie upierając się gwałtem przy gotówce, brał, co było pod ręką, jaja, kury, gęsi, ćwiartkę zboża, korczyk kartofli, uprzystępniając w ten sposób biednej klasie poradę lekarską.

Szczegół to charakterystyczny, świadczący o dobrem sercu Fajbusia Melocha. Przytaczam go zaś dla pamięci i nauki potomnych na tem miejscu, w przewidywaniu, że biografji mego bohatera ani *Medycyna*, ani *Gazeta Lekarska* nie pomieści.

Lejzor Gang.

Znawca ludu niepośledni, miłośnik zabaw ludowych, Lejzor Gang, ma w narożnym domu w rynku bardzo ładny zakład z piwem, wódką i porterem, ma zajazd i dwa numera dla gości. W Galicji podobny Lejzorowemu zakład nazwanoby pewnie „kasynem“, u nas zowią poprostu szynkiem. Lejzor jeszcze z dawnych czasów, kiedy propinację i karczmę w Kozichłapkach trzymał, zna smak i gust chłopski, rozumie również, że po pracy rozrywka każdemu potrzebna, pojmuje przytem całą filozofję przysłowia „na frasunek dobry trunek“ i rad jest, gdy się ludzie weselą, zalewając robaka.

Zakład swój zaopatrzył w najrarytniejsze wyroby wszystkich dystylarni i browarów. Od prostej siwuchy do wiśniówki lub malinówki, od zwyczajnego piwa do angielskiego porteru, wszystko jest. Dobór przekąsek wielki: śledzie zwyczajne i wędzone, ser pokrajany w kawałki, jaja na twardo, gęsina w kawałkach, nawet „koszerna“ kiełbasa! Czego dusza zapragnie! Jest w czem wybrać.

Jako gościnny gospodarz, znający przytem upodobanie swych gości, wie Lejzor, co komu podsunąć, co zachwalić. Panu pisarzowi proponuje szklankę porteru, wójtowi kieliszek „prawdziwej szabasówki“, płeć piękną raczy „słodką“, dla furmanów, lokajów, kucharzy, o więcej zepsutym podniebieniu przez

styczność z dworem, ma „krople“, nadające przedziwny smak „czystej“, — dla gospodarzy okowitę z pieprzem, dla zwykłego *plebsu* tańszy gatunek wódki po 3 kopiejki kieliszek. Usługa szybka i akuratna, a zakąska — palce lizać!

Nic przeto dziwnego, że odbyt jest, zwłaszcza, że Lejzor robi swym klijentom możliwe ułatwienia.

Tantniejszym daje na „borg“, na prostą kredę, czeka od jarmarku do jarmarku, a nawet i dłużej; mniej zasobnym nie odmawia również, choć należność swą zabezpiecza w realniejszy sposób.

Dla uprzystępnienia najuboższej klasie rozrywki, utworzył Lejzor „lombard prywatny“ na zastaw ruchomości. Instytucja ta mieści się w olbrzymiej skrzyni, ustawionej obok szynkwasu. Funkcję taksatora spełnia najstarsza latorośl rodu Gangów, modrooka Małka, wydając kwitki lub ustną decyzję o wartości, zamienionej na ilość półkwaterków. Wypłata ma miejsce przy szynkwasie.

W Lejzorowym lombardzie nie ma wprawdzie drogocennych klejnotów, ale znajdzie się sierp żniwiarza, oceniony na dwa kieliszki wódki, piła tracza, wartości całej kwarty okowity, chustka chłopki, buty, sukmana, siekiera, kożuch, nawet dokumenta legitymacyjne, brane w zastaw od zamiejscowych wyrobników.

Wszystko to przemienione zostało na walutę „płynną“, czasami z niewielkiem *ażiem* przekąsek.

Niedościgniony w jednaniu sobie klijenteli, cieszy się Lejzor Gang, zwłaszcza w sferze furmanów i stangretów, zasłużonem uznaniem, wyrobił je zaś sobie mądrą taktyką postępowania. Każdy furman, zajężdzając do Lejzorowego zajazdu, dostaje z urzędu *gratis* kieliszek okowity z chałą. Taka grzeczność nie może zostać bez nagrody. Gdyby było inaczej, świat gotów stracić grunt do dobrego uczynku.

I Lejzor znajduje nagrodę... w owsię. Wiadomo, że szkapy przy gołym żłobie stać nie mogą, że popas popasem, ale i koń może nie mieć apetytu. Po co przymuszać niemeį stworzenie! Przywiózł

stangret z Biedniakowa ćwiartkę owsa, szkapy nie dojadły, zostało ze cztery garnce, toć się przecie nie opłaci brać z powrotem do domu... a u Lejzora w śpichrzu miejsce się znajdzie. Czasem który z furmanów potrzebuje dobrać cztery garnce owsa dla pary cugantów, ale jak dwa zjedzą, to także będzie, nie ustaną, a błogo, że człek się przy gadzinie pożywi. Dla dziedzica także jedność, bo tylko za cztery garnce zapłaci wedle dyspozycji...

Tym podobne uprzystępnienia materjalne, nie będące bez wpływu na ogólny obrót handlowy, wyrabiały Lejzorowi prócz tego dobrą markę, a zakładowi renomę pierwszorzędnego miejsca rozrywki. Renomę tę podtrzymywał Lejzor umiejętnem obchodzeniem się z gośćmi, uwzględnianiem niektórych przywar ludzkich, a nadewszystko niezwykłą osobistą ochoczością do zabaw i traktamentu.

Sam dawał dobry przykład, początek. Bywało—zajdzie do szynku gromadka chłopów, coś radzą, gwarząc, namyślają się widocznie mają coś na wątróbce, ale im do picia nieskoro.

Lejzor czeka, a gdy sytuacja nic się nie zmienia, woła na jednego z przybyłych:

— Walenty! Co to wam jest? Tacyście smutni! Czy przypadkiem „wasza" nie chora?

— Ej nie! Zwyczajnie gospodarskie sprawy — zwierza się interpelowany.

— Czego się martwić. Bieda?! nie za nas się zaczęła, nie za nas się skończy. Pluńcie na wszystko Walenty... Wiecie, co wam powiem? Mam „szabasówkę", „cymes"! Sprobujcie! Ja stawiam...

Przy tych słowach zdejmuje z górnej półki pękatą butelkę, leje w kieliszki i przepija do chłopa.

— Za wasze zdrowie, Walenty!

— Pijcie na zdrowie, Lejzor!

Pod wpływem poczęstunku rozjaśnia się twarz chopska, smutek i frasobliwość ustępują miejsca ochocie.

— No, to teraz dajcie dla mnie kwartę, tylko mocnej i śledzia na przegryzkę, wypijewa z kumotrami.

Lejzor wiedział że tak będzie, bo najtrudniejszy początek. Odmierzył kwartę okowity, włożył kilka dzwonek śledzia na miskę i postawił przed chłopską gromadką. Pijatyka rozpoczęła się na dobre; po Walentym, „żeby nie ostać w tyle,“ krzyknął o kwartę Franciszek, po Franciszku Maciej i tak w kółko. W dwie godziny pękł cały garniec okowity, wesołość zastąpiła smutek i gromadka chłopska, która weszła do szynku spokojnie, cicho, dzięki dyplomatycznej zachęcie Lejzora, opuszcza gościnny zakład buńczucznie, z gęstą miną zataczając na podsieniach esy floresy i pośpiewując z całego gardła:

„Z karczmy idę, pijany jo,
„Otwórz, babo kanalijo!
„Ha! ha!

Czarodziej! istny czarodziej z tego Lejzora!

W święta i w dni jarmarczne rozwijał Lejzor Gang swą działalność do rozmiarów przechodzących siły zwykłego śmiertelnika. Dopomagała mu w tem co prawda cała rodzina, ale główny kierunek spoczywał w jego ręku. Biegał po szynku od gromadki do gromadki, od Kuby do Maćka, od Wojtkowej do Marcinowej, tu zagadał, tu wódki dolał, tu należność odebrał. Znał swoich gości z imienia i z nazwiska, więc mu to z łatwością przychodziło, a delikatne przemówienie kończył zwykle:

— No? każecie jeszcze co postawić?

— Niech-by i tak było. Dajcie kwartę okowity— odpowiadał zwykle wdzięczny za pamięć chłopek.

Lejzorów szynk śmiało przyrównać można do... giełdy uczuć ludowych. Cokolwiek zrodziło się w duszy chłopskiej, znajdowało tu ujście. Tu wstępowały weselne drużyny, tu oblewano po raz ostatni wspomnienie nieboszczyka, cieszono się po chrzcinach, tu rozbierano przed osądzeniem różne sprawy

in merito, tutaj po sprawie zwaśnione strony przepijały na zgodę lub brały się za czuby przed apelacją.

Ostatniej ewentualności, jak każdy zresztą człowiek dobrze wychowany a spokojny, nie lubił Lejzor Gang. Wpadał też zwykle między zbyt krewkich gości, wrzeszczał gadał, czasem jedną ze stron wojujących wyrzucał za drzwi, a gdy i to nie pomogło, wysyłał modrooką Małkę po pomoc zbrojną, po strażnika.

Najczęściej jednak Lejzorowa wymowa i czynna interwencja odnosiła pożądany skutek, wylew wrogich uczuć tonął w półkwaterkach słodkiej lub pieprzówki, pozostawiając po sobie jedyny ślad w siniakach, podbitych oczach, podartych koszulach lub naderwanych sukmanach.

Podwoje Lejzorowej gospody, otwarte od godziny piątej rano do dziesiątej wieczorem, z wyjątkiem soboty—uchylały się dyskretnie i nocą dla tajemniczych gości, widocznie jednak dobrych znajomych gospodarza, bo się z nimi w osobnym alkierzu zamykał i naradzał.

Nad czem? tego dokładnie nikt nie zbadał. Źli udzie pletli, że Lejzor lubi czasem kradzione kupić...

Ale gdzie świadki?

Uszer Spokojny.

Jeśli prawdą jest, że popyt i podaż, produkcja i zbyt wspierają się wzajemnie, to bez pochlebstwa powiedzieć można, iż Uszer Spokojny hodowli krajowej zasłużył się niepomiernie,

W pięciomilowym od Pułtuska promieniu nie uległa się żadna sztuka bydła, czy to w dworskiej, czy chłopskiej obórce, o którejby Uszer nie wiedział i dla którejby zaraz zbytu nie obmyślił.

Można również z zupełną pewnością twierdzić, iż każde bydlę, z wyjątkiem padłych naturalną śmiercią (i to nie zawsze), skończyło żywot doczesny w jatce Uszera lub co najmniej, za jego wiedzą

Wyrażając się mniej obrazowo, skupiał się w piegowatych dłoniach Uszera cały handel bydłem wychodowanem w okolicy w stanie żywym i znaczna część tegoż w stanie martwym pod postacią koszernego i trefnego mięsa.

Rzecz prosta, iż tak olbrzymi zakres pracy przechodził siły pojedyńczego człowieka, przytem bydle, jako towar chodzący, mogło się przedostać po za linię demarkacyjną Uszerowej działalności, aby więc tego uniknąć, zawarł on z oświeconemi wyspółwyznawcami konwencję handlową, w moc której sztuka przezeń *zatargowana* i oceniona, przez nikogo innego kupioną być nie mogła.

Konwencja ta obowiązywała na wszystkich jar-

markach i targach w miasteczkach i osadach okolicznych,

Jako kompensatę za ten Przywilej — Uszer nawzajem nie psuł targu drugim, lub pokrywszy w asne zapotrzebowania, ustępował prawo pierwszeństwa bez pretensji.

Bywało w dziań targowy chodzi Uszer po placu bydlęcym między szeregiem powiązanych za rogi krów, ciołków, pomiędzy szermiężnymi hodowcami. chodzi i patrzy. Upatrzył wreszcie graniastą krówkę upasioną na miedzach i wygonach. Podszedł, pomacał po karku, pociągnął za wymię, obejrzał rogi i zęby, poklepał, ruszył pogardliwie ramionami, splunął, wreszcie pyta:

— Gospodarzu, co chcecie za to cielę?

— Jakie cielę? Dyć to krowa po drugiem cielaku! Ślepiście, czy co? — odpowiada z gniewem właściciel.

— Krowa! krowa! Niech będzie krowa — kiedy tak chcecie... No? siłaż się ceni?

— Z targiem, czy bez targu?

— No jedno słowo... po co gębę psuć!

— Dacie trzydzieści papierków...?

— Siła? trzydzieści papierków! za takiego chmyza?! Czyście wy to oszaleli, czy co?—wykrzykuje Uszer.

— Wasze pieniądze moja krowa — odpowiada z flegmą chłopek, widząc, że się ku niemu zbliża kilka innych chałatowych postaci.

— Dobrzeście rzekli... wasza krowa. — Słuchajcie? weźmiecie dwadzieścia? Nie! a jeden dwadzieścia? Nie! No to stójcie sobie w błocie i czekajcie innego. Czy to jedna krowa na jarmarku! — woła Uszer i idzie dalej,

Teraz z gromady żydków wysunął się jeden, podchodzi do właściciela graniastej, ogląda i znów pyta:

— Gospodarzu, czy to na sprzedaj?

— A ino...

— Co dać? rzeknijcie słowo...
— Trzydzieści bitych...
Żydek zaczyna się śmiać.
— Gdzieście wy rozum podzieli! trzydzieści rubli za to ciele!... Czy wasza krowa ma w kiszkach cynamon!
— No, a siłaż obiecujecie? — pyta pokorniej, skonfudowany nieco chłopek.
— Ja sam nie wiem co dać... Takeście zacenili...
Namyśla się niby, obmacuje bydlątko, wytykając wszelkie prawdziwe i nieprawdziwe wady,
— Dam ośmnaście rubli! — rzecze wreszcie.
— Co! a toć Uszer dwadzieścia dwa dawał! Spytajcie...
— To było brać... dawał, ale nie liczył Bierzecie?
— Nie. Mniej dwudziestu ośmiu papierów nie wezmę. Zresztą rubla puszcze.
— Możecie puścić i pięć i dziesięć, także nie kupię — woła żydek i odchodzi, krzycząc z daleka: „piętnaście rubli to wszystkie pieniądze".
Teraz zbliża się trzeci kupiec.
Trzeci kupiec ogląda również graniastą, za dójki pociągnie, lecz nawet o cenę nie pyta i idzie dalej. Czwarty, piąty czynią toż samo, ruszając pogardliwie ramionami.
Chłopek czeka i czeka, zdobywając się na cierpliwość. Nakoniec porzuca taktykę odporną i przechodzi do działań zaczepnych.
— Hej! Mojsie! — woła na przechodzącego żydka. — Pójdźcie no, obejrzyjcie bydlątko może wam się uda?...
— A cobyście chcieli? — pyta zagabnięty, dopełniając na grzbiecie graniastej taksy palcami.
— Wziąłbym dwadzieścia sześć — odpowiada po namyśle chłopek, spuszczając z tonu.

— Wzięlibyście... ja wiem! żeby kto dał... Chcecie usłyszeć mądre słowo? — wykrzykuje Mojsie.

— Od tego jarmark. W targu gniewu niema...

— Wszyskie pieniądze... czternaście rubli!

— Co! Uszer dawał dwadzieścia i dwa, a nie brałem.

— Boście głupi. Trzeba było brać. Czternaście rubli to wszystkie pieniądze — wyrokuje ostatecznie Mojsie, odchodząc i zostawiając stroskanego chłopa z *zatargowaną* graniastą.

Podobne przetargi *in minus* odbywają się w dalszym ciągu pod przewodnictwem Uszera przy wszystkich przyprowadzonych na targowisko wiśniaszkach, kwiatulach, biedrulach i łaciatych.

Słońce skręciło już ku zachodowi, jaki taki zabiera się już ku domowi. Pobrykują ciągnięte za powróz bydlątka. Uszer teraz odbywa powrotną drogę i dobija targu.

Dostrzegł go zdala właściciel graniastej — woła:

— Uszer! pójdźcie ino. Cóż to nie skończywa?

— Ja myślałem, żeście już sprzedali — mówi Spokojny, podchodząc zwolna.

— Ja się ta zawdy pierwszego kupca trzymam — tłómaczy się chłopek. — No jakże!

— Niech od was wpierw usłysze...

— Dacie dwadzieścia pięć?

— Nie kpijcie! nie kpijcie!

A dwadzieścia cztery?

— Słuchajcie.. Dam dwadzieścia bez rubla...

— A toć dawaliście dwadzieścia jeden — woła przygnębiony chłopek.

— Dawałem, alem się rozmyślał. Bydła nagnali, jest w czem wybrać... No bierzecie.

— Niechże już będzie, jak za pierwszym razem... — woła chłopek, wyciągając rękę dla przybicia zgody.

— Równe dwadzieścia dam. Ani grosz więcej. Takie ciele! Nie wiadomo jeszcze czy *się zdarzy*.

— A bez cóżby się nie zdarzyło?—pyta zastraszony rytualnym felerem chłopek.

— Widzi mi się, że na flakach niezdrowa—tłómaczy Uszer. — No! nie bałamućcie! bierzecie, jak rzekłem?

Chłopek drapie się w głowę, wreszcie puszcza po pół złotku i przystaje na Uszrową cenę, wymawiając sobie *litkup*.

Uderzono w ręce na zgodę, przybito; graniasta wędruje do Uszerowej stajni, a chłopek, popijając *litkup*, opowiada o przebiegu sprzedaży innym siermiężnym dostawcom.

— Zawdy pedam, że pierwszy kupiec najlepszy. A Uszer, dobry żyd, nad niego nikt więcej nie da...

— Wiadoma rzecz — potwierdzają słuchacze.

Tym sposobem z pomocą „konwencji handlowej" Uszer nietylko nabywa tanio, ale wyrabia sobie u klienteli opinję uczciwego, najlepiej płacącego nabywcy.

Po targu odbywa Uszer przeglądu zakupionego bydła. Niektóre sztuki odstępują od ręki z małym zarobkiem innym współwyznawcom, niektóre przeznacza na rzeź i oddaje w biegłe ręce „przysięgłego rzezaka", Nuchimka, inne wreszcie zatrzymuje do najbliższego jarmarku w celu sprzedaży „na chów".

Doczekawszy najbliższego jarmarku w którem z miasteczek, wyprawia Uszer zakupione poprzednio „na chów" sztuki. Tydzień tylko stały w jego obórce, a proszę zobaczyć jaka zmiana. Każda krówka gruba jak bąk, bo Uszer nie żałuje soli z wapnem, a wiadomo, że po takich specjałach bydlę czuje zgagę i pije straszliwie, że omal nie pęknie. Pod każdą krówką wymię zebrane, aż do ziemi. Bo i na to Uszer ma sposób, dobry sposób. Po pierwsze na dwa dni przed sprzedążą nie każe krów doić, powtóre robi małą operację. Wiadomo, że pokrzywa parzy, że sparzone miejsce puchnie. Pokrzyw letnią porą nie brakuje nigdzie, więc też Uszer nie ma so-

bie czego żałować, a błogo, że ludziom jedna dobra dójka więcej przybędzie.

Wymię po *masażu* pokrzywami omal nie pęknie, najjałowsza krówka wygląda jak prawdziwa „holenderka po ocieleniu.

Nic też dziwnego, że Uszer po takiem *przerobieniu* zarabia po dwadzieścia rubli na sztuce i więcej! Za dobry towar trzeba płacić.

Rzadko—ale zdarza się czasem, iż Uszer jedzie za kupnem bydła po dworach, wywiedziawszy się, gdzie i jakie sztuki są do sprzedania. W wycieczkach tych trzyma się oddmiennego systemu. Najpierw wyprawia przodem jednego ze wspólników. Ten, obejrzawszy towar, po naradzie z pastuchem, ofiaruje śmiesznie niską cenę; rzecz prosta, że kupno nie przychodzi do skutku. W parę dni potem zjawia się sam Uszer niby przypadkiem. Zdarza się często, że akurat w dzień przyjazdu Uszera, sztuki przeznaczone na sprzedaż, ciekną, smutnieją. Pastuch przypadkiem „za krótko" powiązał je do żłobu lub zapomniał na noc paszy zadać.

Uszer, ogląda obmacuje, wyrzeka, że mięso rzadkie, że bydło smutne, może chore, może jaka *epidemja* i po takiem preludjum ofiaruje cenę cokolwiek wyższą od poprzednika.

Szlachcic, chociaż zastraszony, mimo raptownej zmiennej kondycji bydła, upiera się przy swojem. Uszer dorzuca rubla, dwa na sztuce, a gdy i to nie pomaga, zabiera się do odjazdu, mówiąc:

— Już ja do wielmożnego pana szczęścia nie mam. Łońskiego roku, pamięta wielmożny pan? Kupiłem tego byczka. Zapłaciłem z kościami. Com ja stracił! *Nie zdarzył się*, a i łoju nic nie miał. U wielmożnego pana z przeproszeniem, musi być jakiś feler w oborze. Zapaskudzili, czy co! bo każde bydlę na wnętrzu ma krosty, a w kiszkach to wszystko spieczone, aż strach!

Po takiem *dictum* szlachcic mięknie. Zaczyna

się przetarg na nowo i koniec końcem wymowny Uszer dobija targu, a pastuch bierze „rogowe“, bo Uszer wie, co się komu należy.

W ten sposób przyczyniając się do rozwoju hodowli okolicznej, Uszer Spokojny położył już niemałe zasługi ująwszy handel bydłem w prawidłowe karby. Prócz tego jako generalny dostawca koszernego i trefnego mięsa zasłużył sobie już na piękną kartę u wszystkich kucharek, kucharzy, lub posłańców dworskich, wysyłanych do jego jatki po zrazówki, krzyżówki i polędwice. Zdaje się, że on pierwszy rozpowszechnił na prowincji piękny, a znany dobrze w Warszawie zwyczaj, zwany „koszykowem“.

Nie dość na tem. Uszer zna dobrze odżywczą wartość mięsa i wyższość tego pokarmu nad innemi. Wbrew więc przesądom, rozpowszechnionym przez zabobonną weterynarję, nabywa czasem sztukę dotkniętą słabością, dożyna i towar z pomocą pachciarzy rozprzedaje, rozwożąc po wsiach okolicznych, po zniżonej cenie dla chłopów. Uszer wie, że i chłop potrzebuje kawałka mięsa.

Trafia się również czasem, że Uszer Spokojny przywiezie nocą już nieżywe bydlątko z lasu, czasem już odarte ze skóry...

W parę dni potem opowiadają ludzie, że Maikowi krowę ukradli i zarżnęli w lesie.

Oj, ci złodzieje! paskudniki—wyrzeka Uszer.

Mordka Winterkalt.

Było to w roku... kiedy jeszcze fiskus skarbu austrjackiego nie podniósł akcyzy od okowity.

Miedzą pomiędzy niwami wyrosłego żyta i pszenicy szedł Mordka Winterkalt, zdążając do Komorowa, wioski nad granicą galicyjską położonej.

Widocznie spieszyło mu się, bo choć chłód wieczorny rzeźwił, z twarzy Mordki spływały grube krople potu.

W oddali szarzały rzędy domostw i stodół.

Mordka, wydostawszy się na drożynę, wiodącą ku wsi, skręcił w opłotki i prawie pędem pobiegł do najbliższej chaty. Zastukał w przymknięte drzwi raz drugi. Na progu pojawił się gospodarz, Wojtek Prażucha.

— No, Wojtek — zawołał, witając się Winterkalt — trzeba się zbierać. Jest robota. Chodźmy do izby—pogadamy.

Weszli.

— Widzisz, Wojtek—rozpoczął Mordka—trzeba sobie dobrać kilku dobrych chłopów. Towar jest na drugim brzegu.

— A siłaż trza?

— Z dziesięciu. Pęcherki gotowe.

— A jak „obieszczyki" przyłapią? Wczora bezkudy goniły Franka Drzazgę, musiał chłop rzucić wszystko i w nogi...

— Bo głupi. Z wami tak nie będzie. Albo wam to pierwszyzna...

— No jużci... ale zawdy nieprzezpiecznie. Wisła duża, trza na Budziska objeżdżać, a tam „postój".

— Już ja tak zrobię, że „postój" nie będzie — upewniał żyd.

— A gdzieżby się podział?

— Słuchaj, Wojtek! masz brzydką naturę, co się lubisz spierać. To nie twoja rzecz...

— Nie moja rzecz?!—pochwycił chłop.—A jak przyłapią, to komu bieda?

— Nie bądź głupi! Jeszcze nie złapali, a choćby złapali... to wielki gwałt! Co ci wezmą? Gospodarstwo przepisałeś na żonę... najwyżej koza... parę dni... To ci dziwne! czy co?!

— Dobrze wam gadać... teraz żniwa...

— Żniwa... żniwa! Wojtek, czy tobie potrzeba na „pańskie" chodzić? za głupie dwa złote cały dzień mitrężyć? Ty raz przyniesiesz kilka garncy okowity i masz parę rubli. Ty wiesz, że z Mordką *handlować* można.

Jużci sobie nie krzywduję, choć ostatnim razem toście mi *potrącili*...

Potrąciłem! bo w jednej mecherzynie brakło blisko pół garnca... Ale co tam o tem gadać Idźcie?

— Poszłoby się... jeno, że teraz strach, jak pilnują!...

— Już wam mówiłem, żebyście się „postoju" nie bali. Moja w tem głowa.

— Jakże wy myślicie wyrychtować? Gadajcie! — spytał na pół przekonany Wojtek.

— Jakto? Zrobię denuncjację...

— Co?! to jeszcze pewniej chwycą...

— Nie przerywajcie. Wy, Franek, Ignac i jeszcze ze dwóch pójdziecie na „drugą stronę" jak zwykle przejedziecie łódką na Budziska i tamtędy z towarem będziecie wracali. A Jasiek Miśtal, Wawrzek i Jędracha pójdą na Rataje z pustemi baryłkami. Ja tak urządzę, że na komorze będzie wiadomo, że tamtędy pójdzie szwarc. I koniec! Kapitan i obiesz-

czyki będą gonili Jaśka i Jędrachę w Ratajach, a wy bezpiecznie z macherzynami pójdziecie przez Budziska do samej Oleśnicy, a ja tam będę z furmanką?...

— Nieźleby to było i tak, jeno jak Jędrachę przyłapią?...

— To co? Wezmą puste baryłki. Wielka rzecz! No, nie spierajcie się. Towar u Berka jest gotowy, wam trzeba tylko iść i przynieść. Zgoda!

— Jak trza, to trza! ale pamiętajcie Mordka, żeby nijakich potrącań nie było i pieniądze na stół!

— Będą, będą.., więc jutro przed północkiem w drogę! Ja wrócę do Oleśnicy i zaczekam na was. Nie bójcie się, „postoju“ nie będzie.

W ten sposób Mordka Winterkalt, obchodząc „swoich ludzi“ po nadgranicznych wioskach, urządza wyprawy *za szwarcem*. Czasem zdarzało się, że mimo *denuncjacji*, straż graniczna chwytała bandę szwarcowników, nie jeden z czynnych popleczników wolnego handlu przypłacał taką ekskurję mieniem, odsiadywał kozę, ale Mordce Winterkaltowi włos z głowy nie spadł.

Przyłapani chłopi milczeli, a któżby się w niepozornym żydku, chodzącym po wsiach za kupnem skórek, domyślił genialnego wodza kontrabandzistów?

Tak było przez lat parę. Mordka *dorobił* się znacznego majątku, lecz procederu nie zarzucił, zaprowadziwszy nawet niejakie ulepszenia w transportowaniu okowity. Między innemi wyznaczył dla zachęty „premję wwozową“, polegającą na tem, iż szwarcownik, który przyniósł dziesięć garncy spirytusu, prócz normalnej zapłaty pół rubelka od „macherzyny“, dostawał jeszcze kwartę szwarcówki dla siebie.

I było mu dobrze, choć pozornie nie zmienił trybu życia, nie kupił żadnej nieruchomości, gdyż przezorność godna pochwały nakazywała mu ukrywanie do czasu zdobytego *ciężką pracą* mienia.

I zapewne jeszcze długo mógłby się Mordka cieszyć tak dobrze zorganizowanem przedsiębiorstwem, gdyby nie skarbowość austrjacka, która podniosła akcyzę od wódki.

W tych warunkach szwarc okowity przestał się opłacać. Zmartwił się Mordka niezmiernie i począł szukać „nowych kierunków" dla swej pracy. Mając już wyrobione stosunki za granicą, jako zacięty przeciwnik wszelkich ceł, postanowił, zmieniwszy rodzaj towaru, w dalszym ciągu komunikację z „drugą stroną" utrzymać.

Szło mu nieco trudniej, ale szło. *Agencja szwarcownicza* Mordki Winterkalta dostarczała okolicznym i dalszym odbiorcom towarów łokciowych, galanteryjnych, norymberszczyzny, nawet wyrobów żelaznych. Wszystkiego zresztą podejmował się dostarczyć Mordka, ale na ryzyko nabywcy, a na plecach chłopskich, nie przyjmując jednak odpowiedzialności za całość transportu.

Prócz tego z nadejściem tych tak ciężkich dla przemysłu szwarcowniczego czasów, wziął się sam osobiście do ułatwiania formalności celnych.

Pamiętny dawnych przyjaznych stosunków z chłopami, starał się przedewszystkiem o zaspokojenie potrzeb ludu tanim kosztem. Lubił zresztą wygodzić każdemu, więc kłusownikom, od których następnie nabywał zwierzynę i skórki, donosił za psie pieniądze zagraniczny proch, czasem przyniósł ładne *lufki*, czasem nawet pistolet lub rewolwer na zamówienie. Główną jednak specjalnością Mordki była dostawa i handel... koralami.

Towar to bardzo podatny, bo przy przenoszeniu bezpieczny, a dający zysk okazały.

Co tydzień prawie urządzał Mordka za legalnym „pasportem" wyprawę za granicę po korale.

Chodzi zwykle piechotą z parasolem, i choć na komorze rewidowali Mordkę skrupulatnie, nigdy nic nie znaleźli. A jednak Mordka miał zawsze towaru

za kilkadziesiąt rubli. A gdzie go miał? Wtem właśnie cały sekret! cała sztuka.

I zapewne niktby się o tej sztuce nie dowiedział gdyby nie brzydki wypadek z deszczem.

Przyszedł raz Mordka na komorę. Jak zwykle, postawił duży biały, z żaglowego płótna, parasol, w kącie w sieni i idzie do rewizji. Szukają. Niema nic. Podpisali półpasek, Mordka skłonił się grzecznie, wychodzi, patrzy, niema parasola! Zbladł jak ściana, chciał uciekać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na dworze deszcz lał jak z cebra i pewwnie Mordka straciwszy parasol, bał się przemokniecia...

Tak myśleli niektórzy urzędnicy i zaczęli nawet kpić z Mordki.

Tymczasem to nia były kpiny, ale całkiem brzydki interes, jak się o tem zaraz przekonano od starego wachmistrza, który był na służbie, i teraz właśnie nadbiegł pędem z parasolem do kancelarji.

Wachmistrz potrzebował na chwilkę wyjść na dwór, zobaczył stojący w kącie parasol Mordki, wziął go na tymczasem, bo deszcz kropił, Kiedy otworzył, a przyszło mu to z trudnością. bo sprężyny były zardzewiałe, aż krzyknął.

Tak opowiadał wachmistrz demonstrując w kancelarji *corpus delicti*... parasol, w którego środku na lasce owinięte było kilka biczów korali...

Sprawa się wydała. Mordka stracił przez konfiskatę kilkadziesiąt rubli, siedział w kozie, a w dodatku musiał się wynieść w inną okolicę, bo tu już był *za bardzo znany*.

Berek i Ryfka Liebesfeindowie.

Jak w ręku dzielnego wodza garstka wojska większą nieraz potęgę łamie, tak i drobny kapitał w obrotnej dłoni za tysiące starczy.

Kiedy się pobrali Berek z Ryfką i osiedli na wsi, mieli całej gotówki siedemdziesiąt pięć rubli, trochę ruchomości, jak łóżko, pościel, wagę dziesiętną i łokieć. Berek liczył lat 18, Ryfka nieco więcej. Mógł Berek przy swej urodzie i zdatności lepszą partję zrobić, mógł się ożenić w mieście z jakąś familjantką, córką grubego pieniężnika, lecz drobna przeszkoda stanęła na zawadzie.

Berek Libesfeind był *mamzel*; jest to feler w urodzeniu wielki, z którym bardzo rachuje się arystokracja rodowa mojżeszowego wyznania. Jako *mamzel* miał Berek wstęp do znakomitszych domów zamknięty i musiał sobie szukać żony wśród demokratycznej sfery pachciarskiej, skwitowawszy z korzystniejszej matrymonialnej karjery.

Dziś Berek tego nie żałuje, a choć dał trzydzieści rubli w kahale za wyrównanie rodowodu, choć teraz jest zapisany w księdze Lewich, ceni Ryfkę wysoko i z lubością wspomina chwilę miodowych miesięcy, kiedy to obydwoje z koszykiem w ręku, pełnym makagigów, pierników i miodowników, biegali z chaty, wymieniając słodki towar na jaja, skórki, kury i gęsi.

Miło wspomnieć przeszłość tak uroczą i owocną, siedząc we własnym sklepie!

A sklep to nielada! od podłogi do powały za-

łożony towarem w najlepszym gatunku. Czego tam nie ma!?

Jest mydło, cukier, sól, nafta, smarowidło, powrozy, kawa, smoła, tytoń, śledzie, chleb i bułki własnego wypieku, jest herbata i kawa, ałun, olej rycinowy i inne medykamenta, słowem wszystko czego dusza chłopska zapragnie.

Jest i towar łokciowy.

Zakupy robią Liebesfeindowie zawsze z pierwszej ręki; niektóre towary, jak kawa, herbata, sprowadzają wprost z fabryki, inne, zwłaszcza słodycze, chętnie nabywane przez dzieci włościańskie, wyrabiają na miejscu, w sąsiedniej izbie.

Bo trzeba wiedzieć, że zarówno Berek jak Ryfka, znają się wybornie na chemii stosownej.

Ryfka własnoręcznie przyrządza smakołyki, a choć nie czytała żadnych „przepisów", proszę przypatrzeć się wyrobowi np. pierników, słynących wśród dziatwy wiejskiej w całej okolicy. Do garnca żytniej mąki wlewa się pół kwarty melasu i urabia się razem na masę. Przygotowane ciasto wałkuje się na stolnicy mytej dwa razy do roku. Następnie rozwałkowane w kształt placka ciasto posypuje się kminkiem i wsadza na ostry ogień do chlebowego pieca. W pół godziny piernik gotów, należy go tylko na odpowiednie kawałki pociąć i na różny kolor polukrować. W tym celu bierze się trochę miałkiego cukru, rozbija się z białkiem z dodatkiem właściwej farby według gustu. Ryfka ma upodobanie w niebieskim kolorze, bo ta barwa miła oku, a farbki do bielizny „ultramariny" w sklepie nie brakuje.

Ale wróćmy do samego sklepu,

Aczkolwiek mieści on towar wyborowy i do codziennego użytku potrzebny, nie byłby jednak przypuszczalnie tak licznie nawiedzanym, zwłaszcza wobec konkurencji pobliskich miasteczek, gdyby jego właściciele nie zaprowadzili systemu handlowego, bardzo wygodnego dla stron obu.

System ten nader prosty, stosowany z powodzeniem w Afryce przez Anglików, zasadza się na wymianie produktów.

Wiadomo, że pieniądz jest okragły, więc się toczy i trudno go utrzymać; wiadomo również, że grosz gotowy nie zawsze mieć można, zwłaszcza na wsi, gdzie przy utrudnionych środkach komunikacyjnych o regularnym dopływie gotówki nie może być mowy.

Z tej racji wychodząc, Berek i Ryfka Liebesfeindowie zaprowadzili, prócz sprzedaży za gotówkę i sprzedaż zamienną. Byle dzieciak, co się na pieniądzach nie zna i nigdy bodaj trojaka w ręku nie miał, mógł w sklepie Liebesfeindów za przyniesione jajko dostać kawałek piernika, za dwa cztery—sztuki karmelków *Landrina*, za pięć—paczkę *papirusów* razem z pudełkiem siarczanych zapałek.

Ryfka, będąc matką kilkorga bachorków, sama bardzo lubiła dzieci i z wielką łaskawością traktowała nieletnich kundmanów.

Bywało—kilkoletni malec wymkie się rankiem z chałupy i biegnie chyłkiem, skradając się ku sklepowi. Widzi to Ryfka, uchyla tylne drzwi i puszcza malca do środka. Ryfka wie, że uczucia rodzicielskie nie są dość w ludzie prostym rozwinięte. Mógłby ojciec lub matka dostrzedz, mogliby chłopcu jaką krzywdę wyrządzić. Tkliwe serce Ryfki zabiega tej ewentualności.

Wpuszczony cichaczem chłopak wyjmuje z zanadrza jajka. Ryfka skwapliwie chowa je do szuflady i pyta:

— Józiek, co bierzesz? miodownika? czy karmelki?

— Dajcie lepiej *papirusów*!

— Idź, głupi za dwa jajka?

— To wam później doniosę, ino matula w pole pójdą...

— Dostaniesz? a może w chałupie niema więcej jajek!

— O! albo ja to niewiem—zapewnia Józiek.—Jeszcze cztery kurki siedzą pod przypieckiem.

— No! to pamiętaj — napomina Ryfka, dając żądany towar.—Jakbyś nie przyniósł Józiek, to zaraz przed matką poskarżę—jaki z ciebie smyk! Pamiętaj! jeszcze dwa jaja należy mi się od ciebie, a jak przyniesiesz trzy to ci dodam miodownika.

I chłopak nie zawiedzie—raz z obawy oskarżenia, powtóre dlatego, żeby raz na zawsze kredyt stracił. Wprawdzie matka wyrzeka, że kury jaja gubią, i odgraża się, kuksając Józka, że gadzinę na dwór powypuszczał, ale co to pomoże. Józek jajka podebrał, Ryfce odniósł, bo trzeba stawić się w słowie.

Zdarza się również czasem, iż małżeństwo żyje z sobą w niezgodzie, chłop sobie, a baba sobie. Jedno drugiemu wyrywa, każde ciągnie w swoją stronę, czasami się nawet pobiją, pokaleczą zwyczajnie grubijański naród.

Z takiem małżeństwem można handlować, ale tylko osobno z mężem, a osobno z żoną, inaczej zamiast targu będzie wrzask i bijatyka. Wie o tem Ryfka, wie o tem i Berek. Więc Berek idzie do chałupy niby z interesem i zagaduje kłótliwego chłopa, a tymczasem do sklepu biegnie chłopka z dwoma gęsiami pod pazuchą.

Ryfka wita ją mile, rozkłada towar łokciowy, dobiera się do gustu, na kieckę, na gorset...

Chłopka z przyzwyczajenia radaby się targować, ale na to czasu nie ma.

Spieszcie się! spieszcie się! a nuż „wasz" nadejdzie!

— Kiej krzynę drogo!

— Nie bałamućcie! czy to pieniędzmi płacicie! Uchowaliście gęś, to wam się słusznie nowy przyodziewek patrzy... Przecie to wasza praca, a nie tego waszego rozbójnika, co ćwiartkami zboże do karczmy wynosi.

— Oj! pewno, że bezkuda wynosi! a mnie, swej kobiecie, to na lichą szmatą żałuje—żali się chłopka.

— A widzicie!—potakuje Ryfka, mierząc ułomnym łokciem żółty barchan w zielone kwiaty.

Tymczasem Berek radzi pod nieobecność żony mężowi.

— Co tam będziecie pytali na „waszą!“ zwyczajnie babskie gadanie! Sprzedajcie mi ćwiartkę zboża, będziecie mieli na swoją potrzebę. Płacę *baares Geld!*

— A jak się moja dowie?

— Wynieście teraz w worku za stodołę, a wieczorkiem zaniesiecie do mnie.

— Zgoda. Ale mi teraz przyszlijcie paczkę *szwicentu*..

— Po co przysyłać. Ja wam już przyniosłem tak z dobrej chęci—mówi Berek, wyjmując z chałata zwitek tytuniu.

Wieczorem ćwiartka zboża wędrowała do komory Berka, a choć nazajutrz chłopka dostrzegła ubytek w ziarnie, a chłop zauważyl brak dwóch gęsi, obopólne wykroczenia łagodziły winę i kończyło się zwykle na ucinkowem dogadywaniu.

— Jużeś znów garstkę zboża przepaskudził!

— Nie wymawiaj! bo ci się spytam o gęsi, strojnico!—groził chłop.

Tym sposobem, dzięki mądrej taktyce Berka i Ryfki, namiętności cichły, godząc się jak zwykle, z faktem dokonanym.

Tak więc zacna para sklepikarzy, nie nadwerężając zgody małżeńskiej, nie wodząc na pokuszenie rodzicielskiej surowości, potrafiła sobie wyrobić w sferze „zakazanej“ nawet, liczną klientelę, zyskawszy, prócz zarobku, bezgraniczną wdzięczność i zaufanie.

Rzecz prosta, że o wiele łatwiej szło Liebesfeindom w normalnych warunkach, gdy małżonkowie,

żyjący w zgodzie, zachodzili do sklepu po sprawunki, lub gdy małoletność nie stawała na zawadzie.

Wtedy kwestję targu rozstrzygało trafienie do gustu, czasem *borg* lub oszacowanie przyniesionych w zamian produktów. A pod tym względem Liebiesfeindowie doszli do mistrzowskiej wprawy. Berek wiedział, że Michał zażywa tylko *francuską* tabakę, że Ignac łakomy na śledzie *mleczaki*. Ryfka również znała na wylot upodobanie kobiet. Jagnie Kaliciance raiła na gorset prawdziwy *welwet*, Majkowej dobrała jak raz! na barchankę, resztę ponsowego tartanu i dopuściła przy przemiarce. Józce na dworski wyżynek sama wplotła w wianek różowe i zielone wstążki, nie biorąc za fatygę nic zgoła i czekając na zapłatę do młocki dworskiej koniczyny, którą zwykle Józka podsiewała.

Jak już powiedziałem, w sklepie Liebesfeindów panował wszechwładnie system kredytowo-zamienny; obroty na gotówkę do wyjątków należy. System powyższy miał podwójnie dobrą stronę. Po pierwsze, z jednej godziny robił dwie i z jednego rubla dwukrotne dawał zyski. Sprzedając na zamianę, równocześnie w tejże samej chwili przemieniali się Liebesfeindowie w kupujących; wzięła Berkowa za dwa łokcie wstawki kurę, to, rzecz prosta, zarabiała na sprzedaży wstawki i na kupnie, kury. Zarabiała również i za względność, że się nie napierała gotowych pieniędzy. Dawał Berek Matusowi na *borg* tytuń i zapisywał kredką na ścianie, przyszedł czas obrachunku, Matus omłócił korczyk żyta, porachowali się, a za procent odwiózł jeszcze Matus ziarno na targ do miasteczka.

Wygoda za wygodę.

Prócz przytoczonych powyżej ułatwień, nie lubiąca sporów natura Liebesfeindów, zdobyła się na znakomite ulepszenia w wagach i miarach.

W zwykłem teoretycznem pojęciu, łokieć łokciowi, a funt funtowi równy, w praktyce zdarza się

czasem inaczej. Wiadomo, że funty dzielą się na łuty, łokieć na cale. Jeżeli przeto funt cukru, mający 32 łuty, kosztuje łącznie z kupieckim zarobkiem, szesnaście kopiejek, to, rzecz prosta, taniej sprzedanym być nie może.

Ale co robić z upartym chłopem, grundalem, gdy nie chce dać tylko 14 kopiejek za taki funt słodyczy? Czy mu nie dać i pozwolić, żeby pił herbatę na gorzko, żeby stracił smak do zdrowego napoju i wziął się do wódki.

Głupi kupiec bez handlowej edukacji z pewnością zrobiłby tak. Lecz Berek i Ryfka nie. Targują się z początku do upadłego, a gdy widzą, że nie pomaga, *puszczają*...

— Niech będzie po waszemu, Macieju — mówi Berek do upartego chłopka. — Dla was tym razem sprzedam ze stratą... ale pamiętajcie, jak będziecie jechali na jarmark, to się do was przysiądę...

— A toć mi woza nie ubędzie...

— Ny! to już zgoda. *Ryfka gib a kleines funt cuker a fürzen kopiejkes* — dyryguje Berek i niebawem uradowany z taniego kupna chłopek idzie do domu, rozmyślając:

— Jednako z Berka zgodny żyd. Całe cztery grosze puścił na funcie.

A Berek z Ryfką śmieją się w kułak, bo odważyli cukier na *małe*, dwudziestoośmiołutowe funty.

Podobnie jak funty, są i łokcie w podwójnym gatunku, małe i duże są, kwarty i garnce dwojakie. Jak komu i jak kiedy!

Oprócz tego do grubszych rachuuków jest ćwierć 7-o i 10-o garncowa i waga decymalna, której urządzenie wystudjował Berek znakomicie.

Niemały przytem zarobek daje sam towar, jeśli się go bierze z pierwszej ręki albo wprost z fabryki, a czasem nawet wyrabia na miejscu.

Ma zagranica „prawdziwą kawę figową“, ma i Berek prawdziwą kawę z przypalonego łubinu.

Produkt tani a zdrowy, bo przecież chłop nie owca, żeby na „łubinozę“ zachorował. Herbata, nabyta u Liebesfeindów, nie jest wprawdzie „karawanowa“, ale za to naciąga silnie. Z małej szczypty można zrobić pół garnca napitku, mniej szkodliwego zdrowiu, bo nie zawiera wcale „teiny“, a przypomina smakiem kiszoną kapustę, kolorem zaś wypaloną cegłę.

Raz zrobili w sklepiku Liebesfeindów rewizję i znaleźli dużo paczek z etykietami i całą faskę wysuszonego liścia, niewiadomo, z jakiego pochodzącego krzewu. Źli ludzie *obnieśli* później, że Berek liście farbował cynobrem, zawijał w paczki i sprzedawiał za herbatę.

Oj! te języki!

Czego zresztą ludzie nie gadali. Gadali, że od Berkowych cukierków dziecko Paluszyny zmarło, a to był zwyczajny „urok“, gadali, że w mące trafiały się bryłki gipsu, a olej zalatywał terpetyną i wiele jeszcze innych brzydkich rzeczy zawiść ludzka wymyśliła.

Ale co to Berkowi i Ryfce szkodzi. Odbyt jest, utargowanie jest. Uczciwej pracy zawsze szczęście sprzyja, a złe gadanie ludzkie nic nie zaszkodzi.

Dziś Berek i Ryfka Liebesfeindowie mają już sklep we własnym domu, mają na pożyczkach u ludzi pareset rubli, a żyją, jak Bóg przykazał, edukując dzieci. W sabat do rybki i łoksiny siada u Liebesfeindów dziesięć osób. Ich dwoje, siedmioro bachorków i belfer.

I to wszystko żyje z proceutu od wkładowego kapitału 75 rubli!!

J. KALCHASGRÜN·

(Meble na raty.)

Dlaczego celibat liczy tylu zwolenników? nie rozumiem! Przekonany nawet jestem, że hymenofobia nie wynika z przyczyn wyłącznie zależnych od brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. Na dnie tej, mającej z przyrostem ludności związek sprawy leży jakaś zagadka, dotychczas przez żaden kwestjonarjusz nie rozwiązana. O rozwiązaniu jej nie kuszę się bynajmniej; gdy by mię jednak spytano: „czyja wina?“ pomimo wrodzonej uległości dla ziemskich aniołów, odpowiedziałbym:

— Wasza, piękne panie.

— Dlaczegóż?

— Z nader prostych powodów. Ponieważ druga strona, do której piszący te słowa zaliczyć się ma nieszczęście, cierpi bez porównania więcej, przeto, gdyby to od nas zależało, niktby się dobrowolnie takiej katuszy nie poddał.

Nie przesadzam. Przedewszystkiem już sam brak tego „puchu marnego,“ co życie na tym padole łez ukwieca, ta ustawiczna pogoń nerwów i serca za... za... najpiękniejszym tworem ziemi, ta nieugaszona pożądliwość serdecznego tętna, nurtująca „stan kawalerski“—toż to kara nad kary! cierpienia Tantala! a w dodatku... „pokój przy familii“

Któremuż z kawalerów nie stanęła kością w gardle taka kwatera... z „wszelkiemi wygodami,

obsługą i samowarem?“ Kto po dwugodzinnem słuchaniu gam, wygrywanych w sąsiednim pokoju przez utalentowaną dziatwę gospodarstwa, nie zamarzył choć na chwilę o własnem cichem gniazdku? kto nie zatęsknił do własnego rodzinnego ogniska? Kto? — pytam, biorąc na świadków wszystkich sublokatorów Warszawy. W tych warunkach zdeklarowany asceta, rozgoryczony śledziennik, zdziczały monoman, westchnąłby jeszcze do słodkich więzów hymenu i, gdyby to od niego zależało, wybrałby z dwojga złego mniejsze — żonę... nawet z dodatkiem teściowej.

Tak jest. „Pokój przy familii“ w życiu bezżennych osobników rodzaju męskiego zastępuje w zupełności dziesięć plag egipskich. „Pokój przy famili“ to codzienne tortury, składające się: z krzyku dzieci, egzercycji na fortepianie, z kuchennego swędu „gospodarskich obiadów na świeżem maślę.“—to niewola wolnego człowieka, któremu spokoju „porządnego dom“ naruszać nie wypada, — to męczeństwo, przy którem zrzędzenie teściowej wydawać się może uśmierzającym kataplazmem.

A takich męczenników liczy Warszawa co najmniej dziesięć tysięcy. Za dokładność liczby nie poręczam, gdyż nie mam pod ręką urzędowych danych statystycznych; w każdym jednak razie nie mogę się dopuścić zbyt rażącej pomyłki, gdyż obliczenia swe oparłem na ilości kart, wywieszanych co miesiąc z zawiadomieniem: *„dla kawalera spokojnego charakteru w każdym czasie pokój do odnajęcia,“* jako też na łaskawie udzielonej mi informacji przez p. Kalchasgrüna, prawdziwego dobroczyńcę kawalerskiego stanu, posiadacza prześlicznego składu mebli z „wypłatą na raty.“

— Na „raty?“ Nie widzimy w tem dobrodziejstwa—gotów ktoś niewtajemniczony powiedzieć.

— Za pozwoleniem. Powtarzam po raz drugi, że pan J. Kalchasgrün jest największym dobroczyńcą

wszyszystkich „bezżenników“ (tak zwykł nazywać kawalerów), chociaż ma i inną, więcej solidną klijentelę.

Wracam do założenia.

Kto w większości wypadków wynajmuje „pokoje przy familji?“

Kawalerowie nie mogący się ożenić z powodu braku środków materjalnych, kawalerowie nie żeniący się z obawy teściowej, kawalerowie nie mający na razie funduszu na kupno mebli.

Oto lista skazańców, znanych pod nazwą sublokatorów.

Czyż więc nie jest prawdziwym dobrodziejem ten, kto wyrywa tych biedaków z niewoli *porządnej rodziny*, kto udziela im możności przepłynięcia bezpiecznie między Scylią a Charybdą, między „pokojem umeblowanym przy familji“ a... teściową?

Pomniki za życia stawiać takiemu altruiście! a jest nim właśnie p. J. Kalchasgrün, którego pomocy spokój kawalerski, otomanę, cztery gięte krzesełka, stolik do kart i umywalkę na trzech nogach zawdzięczam. Winien mu jestem za to wdzięczność dozgonną i 18 rubli nedopłaconych rat, na które on ma *już* prawomocny wyrok, ja zaś nie mam *jeszcze* pieniędzy.

Ponieważ niedowiarstwo, wada, brzydka, zapuściła tak głęboko korzenie w rdzeń społeczny, że dziś bez dowodu lub świadka prawda najświętsza wiary nie znajdzie, przeto zarówno dla wygody mogących się znaleźć w położeniu mojem, jak i dla przekonania niewiernych, niniejszym opisem chcę czynom p. J. Kalchasgrüna dać jak najszerszy rozgłos i świadectwo.

Mieszkałem wtedy „przy familji“, złożonej z ojca rodziny, zajmującego się w chwilach podniecenia rozbijaniem lamp o podłogę, pani domu, przypominającej z głosu sokratesową Ksantyppę, i trojga „cudownych“ dzieci. Papa, członek nadzwyczajny warszawskiej orkiestry, występujący czasami w Ba-

gateli w roli kontrabasisty, od kolebki wdrażał w nieletnią progeniturę talent muzyczny.

Najstarszy, 9-letni Józio, miał zdaniem rodziców, zakasować z czasem Józia Hoffmana; młodszy rokiem, Jaś, zopowiadał *drugiego* Barcewicza, a o jedynaczce, Kloci, cała kamienica wiedziała, że to *przyszła* Patti, a co najmniej Russel!

Przy akompanjamencie brzęku talerzy i szklanek, łoskocie siekanego na zrazy mięsa, kształciła się artystyczna drużyna od rana do wieczora. Prócz tego w niedziele i święta miewałem bezpłatne popisy „cudownych" dzieci wobec zaproszonych gości.

Pewnego dnia, właśnie po takim koncercie, postanowiłem nieodwołalnie porzucić dotychczasowe *locum standum* i przenieść się do mniej utalentowanej rodziny. Po skrupulatnem obliczeniu środków okazało się, że rozporządzany fundusz nie starczy na wynajecie umeblowanego pokoju. Udałem się przeto do znajomego kapitalisty po skromną pożyczkę. Na szczęście trafiłem w dobrą chwilę. Zacności Chil Eselpferd, po krótkiej pertraktacji, w której firma Patka czynną odegrała rolę, zasilił mię gotówka, zapytawszy jednak uprzednio, na co mi potrzeba.

Opowiedziałem.

— Na co panu takie drogie mieszkanie? — rzekł na to interesujący się losem swoich dłużników kredytor. — Na co taki wydatek? Pan może mieć pokoik cacko za niecałe dziesięć rubli!

— Ależ meble!

— Ja panu dam meble... Za te pieniądze, co pan mniej zapłaci za lokal, będzie pan miał za niedługi czas własne *fein* mebelki... Czy pan nie zna pana Kalchasgrüna?

Nie.

— Pan nie zna pana *Juljusza?* Cała Warszawa go zna! On bywa wszędzie.. po południu w cukier-

ni, wieczozem w Belle-Vue, Eldorado... gdzie pan chce! w najpierwszych domach! Mnie dziwi, że pan się z nim nie spotykał. On panu da, ja mu każę, eleganckie mebelki na wypłat i pan będzie siedział na własnych śmieciach, bez krzyku, bez hałasu, bez... dzieci. Chodź pan zaraz ze mną, ja pana przedstawię panu *Juljuszowi* i zrobicie sobie interes na poczekaniu.

Tak się też stało.

Pan Kalchasgrün przyjął mię bardzo grzecznie. Oprowadził po całym składzie, przyczem wygłosił pouczający referat „o dobroci mebli i niewypłacalności klijenteli", demonstrując prelekcję przysiadaniem na wykwitnych kozetkach i przytaczaniem z imienia i nazwiska tych kundmanów, co dobroci jego serca nadużyli.

— Niech pan przypadkiem nie myśli — mówił, — że ja trzymam tandetną żydowską robotę... Po Kalchasgrünie to się nie pokaże. U mnie tylko sam katolicki wyrób... solidne wykonanie! Niech pan się spyta, kogo chce! choćby nawet tego urzędnika z przeciwka. On teraz mój wielki nieprzyjaciel: zaległ trzy raty i zrobiłem mu „tymczasowe zabezpieczenie", ale i tak prawdę powie, że takich mebelków, jak u mnie, w całej Warszawie nie dostanie! Zresztą poco pytać?! Zrobimy z sobą interes, to się pan szanowny sam przekona...

Po tej przemowie, stanowiącej miłe *allegro* handlowego *potpouri*, wymieniwszy kilka urywkowych zdań z moim protektorem, Chilem Eselpferdem, przystąpił pan *Juljusz* do tranzakcji.

— Ja panu co powiem — mówił.—Pan dobrodziej płacił dotąd osiemnaście rubli za mieszkanie, teraz potrzebuje pan płacić dziesięć... resztę można wydać na meble. Pan mnie da zaliczki 10%, pozostały dług rozłożymy na raty. Jak pan woli płacić: miesięcznie czy tygodniowo?

Zgodziłem się tygodniową wypłatę. Wybór me-

bli nie zajął nam dużo czasu. Wobec uprzedzającej względności pana Kalchasgrüna, popartej w dodatku racjonalną argumentacją, przystałem na jego propozycje.

— Niech się pan *spuści na mnie* — tłómaczył: — ja wiem, co komu potrzeba! Sam jestem jeszcze kawaler... Dużo mebłi... duża subiekcja przy przeprowadzce... koszt duży... Ja panu dam otomankę *obnibus*, ot tę!... proszę spojrzeć... cacko! Będzie z niej i łóżko, i rzeczy można schować i do siedzenia wygoda. Dam panu stolik... umywalkę i trzy krzesła...

Ostatni nabytek zwiększyłem o jedną sztukę, z przyczyny, że nigdy w winta w trzech nie grywam.

Nie opierał się temu pan Juljusz, uznając w zupełności słuszność przytoczonych przez waszego sługę powodów.

— Ma pan dobrodziej rację, ja sam nie lubię grać z „dziadkiem" — potaknął. — Ja jeszcze co powiem. Zamiast zwyczajnego stolika, dam panu stolik do kart! Będzie także podwójny użytek. Śliczny stolik! sukno z łokcia, zielone jak Saski ogród, przytem antyk! Takich mebli już teraz nie robią. Proszę spojrzeć, jakie nogi, co za politura mahoń! Niech panu tylko dobrze posłuży. Życzę, żeby były same... *szlemy!*

Czyż podobna uprzejmość wymaga komentarzy?

Koniec końcem, przystąpiliśmy do obrachunku.

Traf szczególny! Suma należności równała się prawie co do grosza, oszczędności uzyskanej na wynajęciu *nieumeblowanego* pokoju. Za otomanę policzył pan Juljusz pięćdziesiąt rubli; za stolik do kart dwadzieścia pięć, umywalkę oceniał piętnaście, a cztery krzesła szesnaście, razem sto sześć rubli. Że zaś 10°|₀ zaliczka razem z marką wyniosła 11 rubli, pozostało przeto do spłacenia 96 rubli, które obowiązałem się uścić w ratach dwurublowych co tydzień.

Widzi szanowny pan — cieszył się, zacierając ręce, mój dobrodziej — widzi szanowny pan! jak się

to ładnie składa! To, co panu zostało od mieszkania w kieszeni, akurat dla mnie wystarczy... jak bułka za grosz!

Czy trochę nie za drogo?—wtrąciłem.

— Za drogo?! co pan mówi! — oburzył się czekający końca tranzakcji Chil Eselpferd. — To jak znalazł! pan nie poczuje nawet, jak przyjdzie *do swojej mebelki*. A trzeba i to wiedzieć, że i kredyt będzie łatwiejszy, jak pan będzie miał coś własnego w domu.

— Za gotówkę mógłbym sprzedać taniej. Opuszczę całe pięć procent — dodał pan Kalchasgrün.

— Ja panu gotówką zapłacić nie mogę.

— To też właśnie. Niech pan dobrodziej sam obliczy... taka kapanina bez mała rok cały. A trafi się także, co u niejednego, z przeproszeniem szanownego pana, przepadnie i za swoją dobroć człowiek ma tylko stratę....

Niestety! skardze pana Juljusza poniekąd nie mogę odmówić słuszności. Przypomniały mi się jego słowa, kiedy po kilku miesiącach regularnej wypłaty, z przyczyny chwilowej niedyspozycji pieniężnej, zaległem w wypłacie rat, zmuszając swego dobroczyńcę do wytoczenia mi skargi cywilnej o sumę osiemnastu rubli.

Przypominam sobie tę chwilę dokładnie.

— Wstydź się pan — mówił do mnie pan *Juljusz*, — takiej bagateli nie zapłacić. Ja myślałem, że z pana porządny człowiek i dałem nawet bez *drugiego* podpisu, a pan mi zrobił niedelikatny zawód. Jeśli w przeciągu tygodnia nie odbiorę *swojej należności*, zabiorę *swoje* meble z powrotem.

Nie uczynił wprawdzie tego, gdyż na szczęście, której zawdzięczam wpływowej rekomendacji Chila Eselpferda, przy zawieraniu tranzakcji pan *Juljusz* odstąpił wyjątkowo dla mnie od zwykłej formy „*wydzierżawienia*“, poprzestaje na zwykłym rewersie. „*winien jestem prostym długiem...*“

Żałował tego bardzo, na mocy bowiem stosowanego zwykle przy sprzedaży „na raty" kontraktu *dzierżawcy*, mógł był poprostu zażądać *wypożyczonych* mebli, a tak zmuszony był poprzestać na zajęciu" za sumę osiemnastu rubli.

Był to gruba omyłka ze strony pana Kalchasgrüna, którą sobie przy spotkaniu ze mną wyrzucał.

— Tzeba było — mówił, zeszedłszy do mego pokoju z komornikiem na *czynność* — inną z panem zrobić umowę. Należało napisać tak: „Wypożyczyłem od pana Kalchasgrüna meble następujące: 1) otomanę, 2) umywalkę, 3) stolik do kart (antyk), 4) krzesełka gięte — na warunkach następujących: Obowiązuję się tytułem wynagrodzenia za używanie mebli płacić co tydzień panu Kalchasgrünowi rubli dwa. Termin wypożyczenia mebli obowiązuje przez 48 tygodni. Jeśli w tym czasie nie zalegnę ani jednej raty, meble przechodzą na moją zupełną własność, w razie niewypłacalności pan Kalchasgrün ma prawo zażądać natychmiastowego zwrotu i kontrakt wypożyczenia zostaje rozwiązany, bez żadnej z mej strony pretensji. Za całość wypożyczonego umeblowania odpowiadam całym swojem majątkiem i osobą". Podpis, i kwita! Tak trzeba było pisać. Toby się obyło bez pana komisarza, bez kłopotu. Ale mądry Polak po szkodzie! — wyrzekał.

Nie mogłem mu zaprzeczyć racji, dziwiło mię jednak, że też same eleganckie meble, których przecież paromiesięcznem używaniem do tego stopnia nie zniszczyłem, uległy tak raptownej (że tak powiem) dewaluacji, iż zaledwie na pokrycie należności starczyło.

Otomanę ocenił asystujący przy zajęciu z poręki p. *Juljusza* p. Feliks Wisłorybski (popularnie nazywany *Feluszem*) na rubli osiem, umywalkę na trzy, stolik do kart, właśnie dlatego, że antyk, na cztery, a cztery krzesełka po siedemdziesiąt pięć kopiejek za sztukę.

Dziwiło mię to, powtarzam; poważyłem się nawet na lekką opozycję, powołując się na cenę kupna, lecz to nic nie pomogło. Opis ruchomości, sporządzony według zlecenia mego dobrodzieja, wykazuje jak na dłoni, że w przeciągu siedmiu miesięcy *wyleżałem, wysiedziałem i wymyłem* z wartości zakupionych mebli okrągłe 98 rubli!

Ale co temu winien pan Juliusz Kalchasgrün, że ja szanować rzeczy nie umiem? Czy on mi kazył niszczyć meble? Spać tak twardo na otomanie, aż sprężyny popękały?! Grywać po całych nocach w winta i psuć zielone jak Saski ogród sukno? Czy to jego wina, że każdy kawaler...

Ale lepiej o tem nie mówić. I tak za długo rozpisałem się *pro domo suo*, pora już wybiedz piórern na szersze horyzonty, rozejrzeć się w dobroczynnej działalności p. *Juljusza* poza obrębem kawalerskiej niesłowności, gdyż, jak poprzednio nadmieniłem, p. *J. Kalchasgrün* ma przecież i więcej solidną klientelę, którą niemniej z dobroci serca i altruistycznych przekonań obsługuje. Musi przecież odbić *straty na bezżennikach!*

Koń na czterech nogach potknie się czasem, cóż dopiero człowiek, który, jak wiadomo, tylko w dzieciństwie na czworakach chodzi!

Najmądrzejszemu zdarzy się głupstwo palnąć, najprzebieglejszemu omylić, najbiedniejszemu... ożenić. Wypadki chodzą po ludziach. Niejeden biedak, przyciśnięty do muru na raucie, wpada bezwiednie w samotrzask małżeński, oświadcza się, prosi o rękę, zapominając (oj ci Francuzi!) o francuskiem przysłowiu: „że kto się najlepiej ożenił, ten się jeszcze okpił".

Dopiero gdy klamka zapadnie, kiedy już wszystkie *ciocie* lub *stryjenki* roztrąbią *nowinę* po mieście, kiedy znajomi zaczną mu winszować małżeństwa z *miłości*, przychodzi po niewczasie refleksja, budzi się świadomość rzeczywistości i przekonanie: że kto

ma taki mebel, jak żona, powinien mieć i inne meble...

Szczęście to wielkie, jeżeli zbłąkane w matrymonialnym manowcach praprawnuczę Adarna spotkało na drodze kawalerskiego żywota p. *Juljusza* Kalchasgrüna! Szczęście wielkie, jeśli znajomość z zacnym składnikiem mebli nie przeszła z *duumviratu* w *triumvirat* z komornikiem, bo wtedy znaleźć się może deska ratunku: dobroczynna dłoń p. *Juljusza* może przyjść z pomocą i puste ściany małżeńskiego gniazdka umeblować.

W takich wypadkach p. J. Kalchasgrün nie odmawia, nigdy, chyba że na przeszłości młodego małżonka ciąży czarna plama „zaległych rat“ z czasów kawalerskiego żywota.

Pan Kalchasgrün lubi nawet w tym razie wygodzić, rozumując słusznie, że w każdej *parze* mieści się już *solidarność*, co niezmiernie wszelką tranzakcję handlowo-pożyczkową, rzecz prosta, ułatwia. Niemniej ważnym względem, wzbudzającym w panu *Juljuszu* ochoczość do przychodzenia z pomocą meblowo małżeńską, była i ta okoliczność, dowiedziona już praktyką kupiecką, że w małżeńskim stanie przeprowadzka lub też zmiana miejsca zamieszkania *incognito* (praktykowana często przez bezżenników) przytrafia się dość rzadko, tak z powodu dzieci (choćby *in spe*), jak z przyczyny innych zawikłań, którym stan kawalerski nie podlega.

Krótko mówiąc, wobec rzadkich wypadków „*fugas chrustas*“ i możności uzyskania na miejscu *drugiego* podpisu, p Kalchasgrün dawał świeżo pobranym meble na raty z całą, jak mawiał przyjemnością Aby jednak nie okazać się stronnym i nie uchybić kawalerskiej klijenteli, w obrachunkach pieniężnych i w formie kredytu trzymał się jednych i tych samych zasad.

Wydzierżawiał eleganckie meble, które dopiero po spłaceniu wszystkich rat dzierżawnych przecho-

dziły na *własność* dzierżawiących: w razie zaś uchybienia terminu wracały z powrotem w posiadanie pana *Juljusza*.

Czasami prócz takiego tontraktu, brał p. J. Kalchasgrün weksel z podpisem obojga małżonków *na pewność*, niekiedy zaś *sprzedawał odrazu*, lecz z chwilą wprowadzenia mebli robił zaraz „tymczasowe zabezpieczenie" na wszystkich ruchomościach i garderobie.

Robił to także wyłącznie dla *pewności*, aby później subiekcji nie było. Za zgodą małżonków przed dostawieniem mebli uzyskiwał „wyrok" na sumę długu razem z procentami rocznymi i kosztami sądowymi i kładł areszt na wszystkiem, co było

— Co to państwu szkodzi?—mawiał.—To prosta formalność! Miałoby stać to się później, lepiej niech będzie przedtem. Co z głowy, to z myśli... Co to może szkodzić? Nikt o tem wiedzieć nie potrzebuje... Odpisze się każdą ratę na wyroku... Czy odpisywać na kwicie, czy na gotowym wyroku, czy to nie jedność? Niech państwo się nie boją! To żaden wstyd... prosta formalność, nic więcej. Pan komornik słowa nie powie. Ja go znam, to bardzo *milczący* człowiek!

Jeśli jednakże mam być w zupełności szczerym, to przyznać muszę, iż najsympatyczniejszą klijentelą dla pana *Juljusza* był również stan bezżeny czy bezmężny (na razie nie umiem dobrać odpowiedniego przymiotnika), tylko płci słabej.

Pan J. Kalchasgrün, ładny mężczyzna (zwłaszcza w faworytach było mu bardzo do twarzy), był, że tak rzeknę, najżarliwszym pionierem i rzecznikiem *feminizmu*. Stwierdzał to nie gosłowną teorją, lecz praktyką, popartą dokumentami życiowymi.

Niedość, iż najchętniej *meblował* zgłaszające się doń córy Ewy, idące przez życie „o własnej sile," ale nawet nie szczędził trudu na wyszukanie odda-

nych ukochanej „idei“ indywiduów... nie należących do poboru wojskowego.

Jak to już na innem miejscu nadmieniłem. p. J Kalchasgrün bywał stałym gościem w „Belle-Vue“ i w „Eldorado!“ A nie bywał tam przecie wyłącznie w celu przyjemnego przepędzenia wieczoru! Dla ludzi idei chwile wypoczynku nie istnieją.

Pan *Juljusz*, łącząc przyjemne z pożytecznem, przy sposobności przychodził z pomocą bliźnim (rodzaju żeńskiego), rozszerzając zarazem zakres handlowych operacji.

Nulla dies sine linea!—co się na polskie tłómaczy: „W każdem miejscu można zrobić interes!“

Pan *Juljusz* miał to na pamięci. Chodził i patrzył, a znalazłszy grunt podatny, bez straty czasu zawiązywał rozmowę i znajomość.

Po niejakim czasie składał pierwszą wizytę, a wzruszony ubóstwem mieszkania, występował z delikatną propozycją.

— Pani się marnuje! Nawet nie wypada tak mieszkać. Ja pani dam śliczne mebelki na raty... Zrobimy apartamencik!.. cacko, że proszę siadać! Co to panią będzie kosztowało!.. bagatelkę! Zapłaci się samo... Ładny ptak potrzebuje gustownej klatki...

W tej sferze położył p. *Juljusz* niemałe zasługi, ułatwiając silniejszym charakterom kobiecym bytowanie na *odpowiedniej stopie*.

Oprócz moralnego zadowolenia, musiał na tem i materjalnie nieźle wychodzić, gdyż zwykł się był nieraz w zaufanem kółku zwierzać.

— Najlepszy interes z kobietami. Nie zapłaci ona, to zapłaci jaki krewniak, kuzyn, opiekun... wszystko jedno! Nie miałem dotąd zdarzenia, żeby mi jeden grosz przepadł!

Panu *Juljuszowi* można wierzyć na słowo, że tak było w istocie, tem bardziej, że o rzetelności rezultatów świadczyło całe jego postępowanie.

Stosując się do pierwotnie obmyślanego planu,

zjawiał się też p. J. Kalchasgrün po odbiór raty od dłużniczek najczęściej w porze, w której spodziewał się zastać kogo z krewnych—i robił *awanturę!*

Było to *comme de raison* niejakie ryzyko, mogące się skończyć wyrzuceniem za drzwi, jednakże przy „szczęśliwej ręce“ pana *Juljusza* ewentualność ta się nie zdarzała nigdy. Przeciwnie, po *awanturze* następował pomyślny *skutek* pod postacią wyrównania zaległości.

Niema to jednak, jak *ciepło rodzinne!*

Niekiedy tylko, lecz bardzo rzadko, zawodziło p. Kalchasgrüna wyrachowanie, i to nie z jego, lecz z kontrahentki winy.

Wtedy oburzał się p. *Juljusz.*

— Co pani sobie myśli!?—wykrzykiwał podniesionym głosem.—Tak dłużej być nie może... Ja nie tylko panią mam na głowie. Kto chce ładnie mieszkać, musi pracować! Z samego leżenia nic nie przyjdzie, trzeba umieć koło ludzi chodzić...

Po takiej moralnej nauce groził odebraniem „mebelków“ i wychodził zadąsany, trzaskając dzwiami.

Takie były dobrodziejstwa p. J. Kalchasgrüna, świadczone ludziom różnych sfer, płci, wieku i stanu *bezpośreonio*. *Pośrednio* był pan *Juljusz* również dobrodziejem podupadłych rodzin, samotnych wdów, bezdzietnych emerytek i t. d., a to w sposób następujący:

U osoby z odpowiednią kwalifikacją zjawiał się p. J. Kalchasgrün i po krótkiej prezentacji występował z handlową propozycją.

— Ja pani dam ładny kawałek chleba — mówił do zamieszkałej np. na Tamce wdowy po konduktorze. — Dam pani mebelki, pani zrobi ogłoszenie w pismach, a jak się sprzeda, będzie pani miała swoje 10% rabatu! Co? Zgoda?

Najczęściej w parę dni po wizycie p. Juljusza ukazywał się w dziennikach anons: *„Z powodu wy-*

jazdu są do sprzedania meble solidnej roboty za bezcen!" i t. d.

Czasem za powód sprzedaży służyła „*choroba,*" „*zmiana lokalu,*" „*śmierć*" nawet.

Bliżej znający interes p. Kalchasgrüna po przeczytaniu ogłoszenia domyślali się łatwo, iż traktat handlowy z wdową na Tamce został zawarty.

A teraz pytam ludzi bezstronnych: czy nie jest dobroczyńcą, kto biednej, *porządnej* wdowie da możność *uczciwego* zarobienia kilkunastu rubli?

Zdaje mi się, że w szeregu dobrodziejstw, wyświadczonych mieszkańcom syreniego grodu przez p. J. Kalchasgrüna, ostatnio przytoczone niepoślednie może zająć miejsce. Raz, że prócz cech czystej filantropji, tkwi w niem poszanowanie dla rzeczy starych, a więc dla tradycji, powtóre, że odpowiada w zupełności zasobom społeczeństwa, zmuszonego oszczędzać, nastręczając temuż możność nabywania *przechodzowanych* gratów za bezcen!

Przypuszczam, że wymowniejszych dowodów przytaczać nie potrzebuję, gdyż zasadniczo wykazałem że p. J. Kalchasgrün jest istotnym dobrodziejem ludzkości na terytorjum Warszawy; powtóre że pan *Juljusz* jest dobrodziejem *kosztownym*, gdyż za jego dobrodziejstwa zapłaciłem w ciągu 7-u miesięcy 98 rubli; po trzecie, że wobec *takich* dobrodziejstw grzech celibatu nie obciąża nas, panów stworzenia, lecz...

Domyślcie się, piękne panie!

HERMAN REBOCHER.

(Specjalista od... teatru.)

Źle się dzieje w dzisiejszych czasach sztuce dramatycznej lub raczej *teatralnej*, gdyż w określenie to należy wcielić wszystko, co się przy świetle kinkietów rodzi, a z zapuszczeniem kurtyny zamiera. Smutny ten objaw, świadczący o stęchliźnie pojęć estetycznych, o zaniku prawdziwych, czystych ideałów, zauważyć się daje tak w dramacie klasycznym, jak w komedji salonowej, przejawia się zarówno w operze, jak i operetce i, co gorzej, w *corps de* balecie z koryfejkami nawet!

Opera paryska zamyka budżet milionowym deficytem, pierwszorzędne sceny ratują się subwencjami, impresarjowie bankrutują. teatry ogródkowe, pomimo wysiłków „kierowników artystycznych“ i „większych“ kufli piwa, z końcem sezonu posiłkują się *nachnahmą*, a artysta prowincjonalny pisze w liście do rodziny: „Po olbrzymiem powodzeniu w Kutnie *idę z Tuńką i monologami* do Kalisza.“

Źle się dzieje! Upadł kult piękna i artyzmu, materjalistyczne instykty wzięły górę, podmuch Merkurego przygasił ogniska Talii i Melpomeny.

Jednakże... „i swego czasu śpiewak nie obwini-

Nawet w obecnej dobie dekadencji ideałów, zawichrzenia pojęć, wśród społeczeństw, wsłuchanych w brzęk kruszczu, oddanych gonitwie za złotym cielcem, trafiają się wyjątkowe organizacje z piersią przepełnioną czystą miłością sztuki „dla sztuki,“ ra-

6

tujące opuszczony sztandar artyzmu, przysypany, popiołem obojętności tłumów, od zapomnienia pleśni. Ich to ofiarnoćcią goreją znicze dramatycznego *feu sacré*, z ich pomocą rozbrzmiewają srebrne dźwięki tenorów i sopranów, ich poparciu zawdzięcza choreografia przynależne jej w dziedzinie... *ducha* stanowisko.

„Cześć wam i sława! o mecenasi sztuki!" Na właściwszy panegiryczny aforyzm zdobyć się w tej chwili nie umiem.

Cześć wam zatem i sława mecenasi! Bez was niejeden „prawdziwy" talent nie postawiłby stopy na deskach scenicznych; niejedna „łezka w głosie" wyschłaby na patelni powszedniego życia, niejedna „powiewność" mogłaby skończyć na „otłuszczeniu, spwodowanem zastojem.

Cześć wam i sława, dobrodzieje! a choć wiem, że za swe czyny, za zaparcie się dla dobra sztuki, w skromności ducha, nie żądacie innej nagrody, prócz wewnętrznego zadowolenia, bo to jest cechą wszystkich umysłów wyższych — przepowiadam (*utinam sum bonus vates*!), że was rylec historji w jakim „Albumie teatralnym" lub „Gwiazdce scenicznej" nie pominie!

Nim to jednak nastąpi, pozwole sobie na skreślenie nieudolnem piórem biografii jednego z najcichszych, lecz najzasłużeńszych dobrodziejów teatru, pana Hermana Rebochera, pracującego w tym interesie od czasów premierowego przedstawienia „Podróży po Warszawie,"

Czynię to z tem większą skwapliwością i namaszczeniem, że skromność pana Rebochera, przechodząca czasami w chęć utajenia przed światem podniosłych uczynków, mogłaby pozbawić potomność wybitniejszych szczegółów życia i spraw tyle zasłużonego sztuce mecenasa.

Jakim sposobem pan Herman Rebocher z dro-

bnego kapitalisty przekształcił się w specjalistę od... teatru?.

Gdybym się powołał na los, *fatum ananke* — byłaby zapewne w tem określeniu cząstka prawdy, ale cząstka tylko, nie odźwierciadlająca dokładnie zasadniczych tych czynników, które na *mecenasowanie* Rebochera wpływ wywarły.

Lepiej przeto i zgodniej z istotą rzeczy uczynię, trzymając się własnego wyrażenia pana Hermana. Maluje ono wybornie przełomową chwilę „przebudzenia się lwa" artystycznego w klatce piersiowej nalewkowskiego kapitalisty.

Pan Herman Rebocher *wpadł* w teatr!" Są to własne jego słowa, przy których blednie lakoniczna wymowa nieboszczyków Spartan!

Pan Rekocher „*wpadł* w teatr!" W tem wyrażeniu mieści się wszystko: ekspozycja, akcja, rozwiązanie, przyczyna i skutek, motyw i teza! jest w niem kawałek dramatu, szczypta komedji, urywek opery, fragment operetki, *pas de deux* baletu, jest cały „poranek artystyczny".

Pan Herman Rebocher „*wpadł* w teatr!" A było to tak:

W poszukiwaniu niewypłacalnego dłużnika, którego nigdy w domu zastać nie mógł zaszedł p. Rebocher pewnego razu na przedstawienie do Eldorado i został zachwycony!

Dłużnik wprawdzie wysunął się w tłoku nieznacznie, ale sztuka, a dawano „Trzydzieći lat życia szulera," zajęła go niezmiernie. Odczuł intuicyjnie, że teatr to prawdziwa „szkoła obyczaju!„ Idea *uobyczajenia* tłumów przez teatr zakiełkowała już wtedy w wrażliwym umyśle pana Hermana.

— Gdyby każdy z moich dłużników — rozmyślał, wróciwszy do domu, — zamiast grać w karty, przypatrzył się, co się to dzieje z „szulerem," na pewno wolałby płacić długi, niż ryzykować w *sztosa*

Miałby *naukę*!

Zatem kostiumy, biżuterje artystek, dekoracje i inne teatralne akcesorja podobały mu się bardzo.

— To wszystko warte ładny grosz — rozważał układając w głowie przypuszczalny szacunek.

Teatr ma to do siebie, że *ciągnie*. Rebocher, zasmakowawszy na „Trzydziestu latach życia szulera", w parę dni kupił *wejście* na „Szulamis," a gdy zaczęto grywać „Podróż po Warszawie", był już stałym gościem teatralnym, *Stammgastem!*

Opamiętał się jednak w porę, że częste *wejścia* kosztują zbyt drogo, lecz nie chcąc się pozbawiać dla „marnego kruszczu" duchowej rozrywki, wszedł zaraz w układy z *samym* dyrektorem i wyrobił sobie w zamian za drobną pożyczkę *passe-partout*.

To było pierwsze *wpadnięcie*.

Przy końcu sezonu pan dyrektor, mimo „szalonego" powodzenia, ujrzał się w konieczności zaciągnięcia nowej pożyczki.

Ponieważ system *nachnahmowy* nie był jeszcze wówczas rozpowszechniony, pan Rebocher *antiquo more* dał kilkadziesiąt rubli na zastaw garderoby i kostiumów.

To było *wpadnięcie* drugie. Dyrekcja zastawu w terminie nie wykupiła, zbankrutowawszy na prowincji; towarzystwo po ostatniem „na ogólne żadanie Szanownei Publiczności" przedstawieniu przeobraziło się w działówkę."

Pan Rebocher *został* z kostiumami.

Był to pierwszy zawód, o tyle w dodatku przykrzejszy, że pani Rebocherowa, zrobiwszy przegląd zastawionej garderoby, przyszła do przekonania, że ani królewska szata Hamleta, ani obcisłe stroje dworzan, ani też chlamidy uczestników wojny trojańskiej na powszedni użytek dla przeciętnych śmiertelników służyć nie mogą. Z całej kolekcji błyszczącej przy świetle kinkietów odzieży wybrała zaledwie na ranny negliż dla siebie powłóczystą szatę „Pięknej Heleny," aksamitny kostium pazia z „Marji Sztuart„

przerobiła na letni garniturek dla najmłodszego syna, a kilka tarlantowych spódniczek z „Pani Angôt" zdołała zaledwie po gruntownem przenicowaniu zużytkować na firanki.

Reszta *została leżeć*, gdyż składnicy z Wołówki, ludzie prości i nie znający się na efektach teatralnych stanowczo odmówili wszelkiej tranzakcji.

Ludzie słabego charakteru, zrażający się lada przeciwnością, są jak chorągiewka, którą wiatr miota Pan Rebocher nie był chorągiewką. „Pierwsze koty za płoty" — powiedział sobie i czekał drugiego sezonu. Kto umie czekać, ostatecznie zwycięża. Wytrwałość pana Rebochera zwyciężyła.

Nadszedł czas maskarad i tomboli. Pan Herman, po walnej naradzie z żoną, dał ogłoszenie do dzienników: *„są do wypożyczenia eleganckie kostiumy na maskaradę. Dyskrecja zapewniona..."*

Pomysł był dobry. Już po „trzeciej" rodzina Rebochera z zadowoleniem ujrzała się w posiadaniu kwoty równającej się wysokości pożyczki, udzielonej na zastaw kostiumów nierzetelnemu dyrektorowi. W dodatku jeden z wypożyczających maskaradowiczów, zozdarłszy podczas *intrygi* efektowny kostium Jowisza (z „Orfeusza w piekle"), bonifikował panu Rebocherowi tytułem strat rubli dziesięć, co łącznie z nieuszkodzoną garderobą, tudzież zużytkowaną w rodzinnem kole, stanowiło już zysk czysty pierwszej teatralnej operacji mego boharera.

Panu Rebocherowi wrócił *smak* do sceny!

Jak to mówią: odwróciła się karta zawiał wiatr pomyślny...

Jednemu z prowincjonalnych artystów dopisało wyjątkowe szczęście w stukułkę. Szczęśliwiec, znalazłszy się w posiadaniu dwudziestorublowego kapitału postanowił założyć *własną dyrekcję*.

Bibliotekę, złożoną z czterech bomb i jednej farsy, miał, — brakowało mu jedynie kostiumów, towarzystwa i teatru.

Audaces fortuna juvat!

Wybraniec fortuny (posiadacz dwudziestorublowego kapitału) bez straty czasu puścił się do Warszawy i trafił w szczęśliwą chwilę. Zaimponowawszy godnością postawy właścicielowi ogródka, zakontraktował teatrzyk na warunkach nader dogodnych. Niedość, że tenutę dzierżawną miał opłacać *z dołu*, ale nawet przy kontrakcie nie dał grosza zaliczki.

Jak komu idzie, to idzie!

Z kontraktem w kieszeni udał się pan dyrektor na giełdę aktorską do cukierni Bliklego, gdzie zafundowawszy kilka „czarnych" z rumem, w parę godzin zorganizował wyborowe towarzystwo, rozdawszy między naljepsze „siły" *à conto* czwartą cześć rozporządzalnego kapitału.

Miał więc teatr, miał artystów, brakowało mu jedynie wspólnika pracy dla dobra sztuki,

Zwierzył się z tem jednemu ze świeżo zaangażowanych, rutynowanemu artyście, który z niejednogo pieca chleb jadał.

I znów traf szczęśliwy zrządził, iż tenże w ubiegłym sezonie, za poprzedniej dyrekcji zaznajomił się w antraktach „Sulamity" z panem Rebocherem.

— Mam dla *dyrektota* człowieka — odrzekł na interpelację: — poznałem go w zeszłym roku u tego idjoty Fornalkiewicza. Pyszny okaz! postawi dyrektor co „mokrego," poczekamy... on tu niedługo nadejdzie.

Oczekiwanie nie trwało długo. W jakie pół godziny zjawił się pan Rebocher, zachodzący tu codziennie na pogawędkę artystyczną.

Po wzajemnej prezentacji przystąpiono do interesu. Obie strony, ożywione jedną i tąż samą ideą, porozumiały się dość łatwo. Po krótkich pertraktacjach, pan Rebocher objął posadę *kasjera* w nowej dyrekcji na warunkach następujących:

Pan Rebocher przyrzekł zaforszusować pięćset rubli na koszta przedwstępne, wymówiwszy sobie,

że regulowanie rachunków do wysokości zadeklarowanej sumy należy do niego. W zamian za to miał pan Herman na pokrycie przynależności pobierać z każdego przedstawienia do końca sezonu rubli dziesięć, prócz dochodu ze sprzedanych afiszów i dwóch rubli dziennie za kasjerstwo.

Innemi słowy, pan Rebocher za pożyczkę 500 rubli spodziewał się odebrać ze stu przedstawień rubli 1,000. miał nadzieję utargować za afisze około 50 rubli miesięcznie (a jak dobrze pójdzie, i więcej) a nadto kasjerstwo miało mu przynieść okrągłe 60 rubli miesięcznie.

Zapewne, że wobec oddawanych usług było to jeszcze niewiele, ale zapominać nie należy, iż pan Rebocher został zwykłym tylko „kasjerem," nie zaś „kierownikiem artystycznym," przeto w skromności ducha poprzestawał na mniejszem.

Zresztą każdy początek trudny.

Przytem należy jeszcze i to wziąć pod uwagę, że p. Rebocher, aczkolwiek z natury ryzykant, w tym wypadku nie ryzykował wiele.

Przedewszystkiem miał siedzieć w kasie, co już do pewnego stopnia ułatwiało zwrot forszusu, powtóre sam dysponował pożyczoną sumą, z której rzecz prosta, zaliczył najpierw sobie za dostarczone kostiumy rubli sto, zostawało mu przeto do wyciągnięcia właściwie rubli czterysta i zyski.

— Choćby nawet na ten przykład — rozmyślał, zasiadłszy w pesymistycznym nieco nastroju pierwszy raz w kasie, — choćby na ten przykład w połowie sezonu urządzili „klapę" i tak nie stracę... A tak źle być nie powinno... Kobiety jak łanie! sama Stelka zrobi powodzenie...

To było trzecie z porządku *wpadnięcie* w teatr, *wpadnięcie* głębsze od poprzednich, lecz przynajmniej uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Nie zawiodły wprawdzie złowróżbne przeczucia mego bohatera, dyrekcja urządziła „klapę" przed

końcem sezonu, ale stało się to dopiero po siedemdziesiątem piątem przedstawieniu, z powodu drapnięcia primadonny przed samym spektaklem.

Bolał bardzo nad takim *skandalem* pan Rebocher, próbował nawet początkowo pójść przebojem i, przekształciwszy statystkę Ninę na koloraturowy sopran, wystawił „Sinobrodego“ w „nowych“ jeszcze obciślejszych (dla oszczędności materjału) kostiumach, ale powodzenie, mimo usilnych starań Stelki, Tuńki, pomimo świetnej gry mimicznej Niny, nie powróciło.

Z prawdziwem rozgoryczeniem przystąpił tedy pan Rebocher do likwidacji interesu. Wycofał wprawdzie łącznie z dochodem z afiszów i pensją kasjerską około tysiąca rubli, ale reszta pozostała resztą!...

Po gwałtownej scenie z nieudolnym dyrektorem, zamknął wreszcie pan Herman sezonowe rachunki położeniem aresztu za *resztę* na bibliotece, dekoracjach i kostiumach i na odbytej niebawem licytacji, w braku więcej dających, utrzymał się przy kupnie.

Nie mógł jednak zapanować nad oburzeniem.

— Panu suflerem być, nie dyrektorem! — rzekł w głębokiem uniesieniu do skonfudowanego kierownika sceny — prawie w budzie siedzieć! Zebyś pan miał *samych Morozowiczów* nawet, to przy takim rządzie musiałaby być „klapa!“ Poco się brać nie do swoich rzeczy! zarzynać porządnych ludzi! Co te łachy warte? Kto mnie odda moje pieniądze! Taka chórzystka... taka Stelka... lepiej chodzi koło interesu, niż pan. Winna mi była dwadzieścia pięć rubli... Spytaj się pan, czy nie oddała!? jeszcze *postawiła...* A pan? nie jest *dyrektor*! ale... *krowienty*! rozbitek! prawie panu na „Czystem“ „w działówce“ grywać!

Takie było pożegnanie pana Rebochera z dyrektorem.

Dotkięty w najdroższych uczuciach, mój boha-

ter zarzekł się sceny, lecz artystyczna natura wzięła w końcu górę.

Nie wytrzymał długo. Wprawdzie od scen prowincjonalnych i ogródkowych odsunął się stanowczo, lecz z teatrem nie zerwał. Przeniósł tylką swą dobroczynną działalność na „sceny *stałe*".

Już w zimowym sezonie widzimy pana Rebochera pod „filarkami", gdzie zawiązuje znajomość z filarami (obu płci) sztuki dramatyczno-wokalno-choreograficznej".

Sic itur ad astra!

Do opisu dalszych poświęceń dla sztuki zaczerpnę wątku z autowspomnień pana Rebochera, popartych całym repertuarem kwitów, kwitków, solawekslów i innych tego rodzaju pamiątek, świadczących o pieczołowitem „mecenasowaniu" mego bohatera.

I w specjalności może być jeszcze specjalność! Jeśli w zbiorowej nazwie „szewctwo" mieszczą się dwa kunszty: męski i damski, — dlaczegóżby mecenasowanie w teatrze, „specjalność od teatru", rozczłonkowaniu podlegać również nie miały? Wszakże taki podział może być przeprowadzony bez szkody dla *hurtowej* specjalności i bez ujmy dla samego specjalisty, o ile tenże w swoim fachu jest dostatecznie wykwalifikowany!

A że właśnie pan Rebocher był w tym kierunku wysoce wykwalifikowanym specjalistą, mógł sobie przeto pozwolić na specjalność w specjalności i jeszcze na trzecią specjalność. Jako „specjalista od teatru" wogóle, był pan Herman przedewszystkiem mecenasem *damskim*, a głównie *baletowym*.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby mój bochater, rzadząc się niepotyzmem, faworyzował jedynie żeńsko-teatralne filary, lub, co gorsza, zaniedbywał zupełnie dramat, komedję, operę—dla baletu... Bynajmniej! Zaznaczam jedynie, iż pan Rebocher, chociaż nie stronił od golącej twarz połowy rodzaju

ludzkiego, z większą jednak pieczołowitością zwracał się ku płci pięknej.

A miał do tego najzupełniej uzasadnione przyczyny, z najczystrzego zamiłowania sztuki wypływające.

Po pierwsze — ponieważ płeć piękna, inaczej zwana słabą, już jako taka, wymaga większej i częstszej pomocy bliźniej; powtóre, (że jak to już Heine w rymkach opiewał) najpiękniejszą „sztuką piękną“ jest piękna kobieta, co we wrażliwych na piękno umysłach zawsze przechyla szalę na stronę kwintesencji przyrodzonego piękna; po trzecie, iż urok tego piękna potęgują zwykle jeszcze... biżuterje, ponoszące blask wrodzony gwiazd scenicznych, co w obozie przeciwnym rzadziej zauważyć się daje.

Odnośnie do predylekcji baletowej pobudki nań wpływające w krótkich słowach przedstawił najlepiej sam Rebocher, mówiąc:

— Komedja,.. ladna rzecz! dramat niczego... w „Małym“ także zabawić się można... ale niema jak balet! Nie trzeba sobie psuć głowy... od razu widać, co jest!

Niepodobna jaśniej określić sytuacji!

Mając tego rodzaju wytyczne, pan Rebocher przedewszystkiem starał się podtrzymywać teatr ze strony *słabszej* i oddał w tym kierunku rzetelne usługi sztuce, gdyż, jak to mówią, znał się na rzeczy. A nie była to kompetencja powierzchowna.

— Doś mi raz widzieć, a już wiem, co jest — zwykł był opowiadać pod „filarkami“, gdy pogawędka przeszła na artystyczne tory.—Z pierwszego debiutu zgadnę, co będzie. Pamięta pan, jak występowała pierwszy raz Iksińska? Poszedłem do teatru... jakem tylko zobaczył, że w pierwszym rzędzie krzeseł siedzą „same hrabie“ i lornetują, to zaraz wiedziałem, że ona ma talent! I co? proszę teraz czytać, co o niej *piszą*...

Przykładów podobnego znawstwa mógłbym

przytoczyć więcej, poprzestanę jednak na tym jednym, jako dostatecznie przekonywającym, i wracam do biograficznego jądra.

Najpiękniejszy kwiat więdnie bez rosy ożywczej, największy talent marnieje w braku środków. Ileż to już *duchów podniosłych* padło zmrożonych oziębłością ludzką! a przeciwnie, ile *zarodu sławy* przez pomoc w porę udzieloną rozrosło się w *pnie rozgłosu!*

Nie szukając daleko, działalność pana Rebochera dostatecznych na to dostarcza dowodów.

Nie będąc zwolennikiem subjektywnych wyłuszczeń, zachowam *incognito* co do nazwisk, wyszczególniając jedynie rodzaje, gatunki i sposoby Rebocherowej pomocy.

Rzecz prosta, że pieniądz, ów talizman naszego wieku, przeważną w nich odgrywał rolę.

Pan Rebocher udzielał pomocy pod różnemi postaciami.

Pożyczał w krytycznej chwili na prosty kwit lub weksel z małym (pięć na miesiąc) pobieranym, dla pamięci, z góry procentem, czasem brał na przechowanie jaki klejnot, czasami ryzykował, kupując z góry całoroczne *feu.*

Ostatniej operacji dopełniał przy pomocy rachunku prawdopodobieństwa.

— Ile pani ma od występu? Trzy ruble... Ile razy pani może grać przez rok? Czterdzreści... niech będzie pięćdziesiąt razy... to mamy okrągłe sto pięćdziesiąt rubli! — przedstawiał. — Ja dam pani za to z góry sto rubli. Zgoda? całe sto rubli, setkę...

Wobec tak potężnej oferty, zwłaszcza gdy krawcowa natarczywie zgłaszała się z niezapłaconym rachunkiem, tranzakcja zazwyczaj przychodziła do skutku i wtedy już nie artystka, ale właściwie pan Rebocher *występował*, starając się, rzecz prosta, aby *występy* były jak najczęstsze. Czasem z pięćdziesięciu występów zrobiło się sto!

Ale czyja w tem zasługa, jeśli nie pana Rebochera?

On ryzykował, *gwarantując* pięćdziesiąt występów, a że umiał chodzić koło interesu, że za jego staraniem sztuka i artystka podobały się publiczności, słusznem jest przecie, żeby na *swem staraniu* coś zarobił. Artystka i tak miała w zysku „wyrobione" powodzenie.

Zresztą wiadoma powszechnie rzecz, że każde *powodzenie* kosztuje. Pan Herman mógł to rachunkiem udowodnić, każdą pozycję powodzenia *szczegółowo* obliczyć. Kogo innego kosztowałoby to nawet więcej, lecz ponieważ mój bohater prowadził w tym kierunku interes hurtowy, miał przeto odpowiedni rabat i tańszym kosztem akcyę *powodzenia* przeprowadził.

Przedewszystkiem miał pan Rebocher stały układ z dyrekcją „klaki", na mocy którego zarówno „wywoływanie', jak „oklaski" nabywał po zniżonej cenie. Jeśli więc *potrzebował trzymać* którą z klijentek, wydawał odpowiednie polecenie i brał koszt *powodzenia* na swój rachunek.

Poza tem drugim środkiem zwrócenia publicznej uwagi na dany talent, do którego pan Rebocher uciekał się niekiedy, była owacja kwiatowa. Podnosiło to cokolwiek wydatek, ale skutek był niezawodny.

— Publiczność jest jak kobieta: zawsze na kwiatek poleci — mawiał mój bohater z głęboką wiarą w skuteczność tej recepty, a łącząc słowa z czynem, założył specjalną agencję kwiatową i z jej pomocą obsługiwał, dla „dobra', sztuki, żywe kwiaty sceny.

Na zamówienie, po bardzo nizkiej cenie, doręczał na scenie po pierwszym lub ostatnim akcie, zależnie od okoliczności, bukiety, kosze ze wstęgami i napisem, nawet wieńce laurowe i cenne podarki; co do podarków, to te, jako „wynajęte", wracały po przedstawieniu z powrotem do *agencji*. Czasami je-

dna i taż sama „kolja z brylantami" siedmiokrotnie służyła do wzbudzenia owacyjnego efektu.

Pod tym względem zasług pana Rebochera nie doceniano należycie i mało kto wie zapewne, ile „ukwieceń" było dotychczas dziełem oddanego sztuce mecenasa!

A trzeba i to wiedzieć, że cała ta *historja* nie tak wiele znów kosztuje, żeby sobie na nią pozwolić nie można, a mimo to ratuje niekiedy sytuację...

Bywało, zrobił pan Rebocher z panną Zetowicz interes z „występami". Nieszczęście chciało, że *położyła* jedną rolę, zjadliwy krytyk *schlapał* dłużniczkę niemiłosiernie. Trzeba było koniecznie *robić powodzenie*. Proponuje tedy pan Rebocher „z dobrego serca" owację kwiatową.

— Trzeba myśleć o sobie — radzi strapionej niepowodzeniem „gwiazdce", — inaczej będzie źle! Co pani sobie myśli? Ani *piszą*, ani *klaszczą*, gotowi rolę odebrać! a z moimi pieniędzmi co będzie? Wie pani co? ja pani małym kosztem zrobię powodzenie... „bukiet", albo lepiej „kosz", z białą wstążką i złotemi literami. Za głupie trzydzieści rubli będzie pani miała w orkiestrze eleganckie naczynie kwiatów — z szarfą!

— Kiedy nie wiem, czy to wypada? — waha się artystka.

— Nie rób pani naiwnej! Tyle lat pani grywa „naiwne" można się było już tej naiwności oduczyć! To dobre na scenie! Ze mną pani nie potrzebuje grać... Pisz pani kwitek na pięćdziesiąt rubli, a jeszcze na dzisiejszym spektaklu będzie „kosz", z kameljami i owacja!

Jeżeli przeto następnego dnia po przytoczonej rozmowie pojawiły się w pismach „ciepłe" wzmianki: „*znakomitej przedstawicielce tytułowej roli po świetnie zagranej scenie w akcie III-im, grono wielbicieli jej talentu i miłośników teatru wręczyło kosz żywych kwiatów*... jeżeli *powodzenie* wróciło, to czyja,

pytam, w tem zasługa, jeśli nie pana Rebochera?

Pomimo zupełnego oddania się sztuce, zdarzało się jednak, że pan Rebocher z bólem serca nie mógł na razie przyjść komuś z pomocą. Składały się na to rozmaite okoliczności. Czasami „lokalne" warunki — jak zupełnie wyczerpanie pensji, brak biżuterji i t. d., krępowały działalność pana Rebochera. Wtedy nie mogąc służyć doraźną pożyczką, pośpieszał przynajmniej z dobrą radą' do której zastosowanie się niejednokrotnie polepszało położenie.

— Chcieć, to módz — pouczał w twardych okolicznościach kochający sztukę mecenas. — Niech pani tylko chce, a pieniądze być mogą. Widziała pani ten garnitur u Mankielewicza? Dałbym zaraz *na niego* dwieście rubli! Niech się pani o to postara... Ja wiem, że pani może... jedno słówko wystarczy... trzeba tylko chcieć! *On* dzisiaj będzie na przedstawieniu... Niech pani o tem pomyśli. Co u *niego* znaczy kupić taki garnitur! bagatelka!...

Nie zawsze dobra rada znajdowała posłuch, często jednak trafiał pan Rebocher na grunt podatny i wtedy, oglądając owoc swych zabiegów, mawiał:

— A co? nie mówiłem! teraz mogę pani dać dwieście rubli, Przy *drugiej* sposobności to pani wykupi z powrotem...

Tak się w zarysach przedstawia *specjalność damska* pana Rebochera; co do *męskiej*, ta nie ustępuje pierwszej w skutkach, chociaż, jak to już na innem miejscu nadmieniłem, mój bohater mniej chętnie do niej zwykł był przystępować, uważając płeć brzydką za drugorzędną podporę sceny.

Jednakże i na *męskiem* polu przeświecają ślady jego działalności w podobnej jak poprzednia formie.

Kilka szczegółów z auto-wspomnień pana Hermana najlepiej tę rzecz oświetli.

Zgłosił się przed paru laty do pana Rebochera artysta z prośbą o pożyczenie pięćdziesięciu rubli.

Smutna mina, wzrok melancholiczny petenta, wzruszyły do głębi serce mecenasa. Zaczął tedy przemawiać doń słowami otuchy i pokrzepienia.

— Nie krzyw się pan — mówił. — Co jest? Potrzeba panu pieniędzy? to *żaden wstyd*... Każdemu się to zdarza... I Kolumb miał talent, miał ładny interes z odkryciem Ameryki, a pieniędzy potrzebował... O co idzie? Pięćdziesiąt rubli? Znajdą się zgodzimy się... Tylko nie trzeba robić takiej smutnej miny! Poco? Czy pan myśli grać „Hamleta" po Ładnowskim?... Daj pan pokój ze smutkiem, publiczność tego nie lubi.., ona woli śmiech.

Przy tej sposobności wygłosił pan Herman trafny sąd o „smaku', warszawskiej publiczności i głęboką uwagę, o wyższości śmiechu nad smutkiem.

— O smutek, o zgrzytanie nie trudno w życiu, nie potrzeba ich szukać na scenie! A śmiech to rzadkość, jak pogoda w żydowskie święta. Niech pan o tem pamięta... Ja bym nawet radził panu przerobić na się *komyka*!

Artysta, zasilony pożyczką, o tyle poszedł za radą pana Rebochera, że gdy tenże zgłosił się doń o zwrot pożyczki, przyjął go z uprzedzającym uśmiechem, ale pieniędzy nie oddał... Taka to już wdzięczność ludzka!

Przyszło nawet z tego powodu między stronami do małego starcia' które znów dało wierzycielowi sposobność do wygłoszenia opartego na znajomości sceny zdania:

— Pan jesteś Schylok! — krzyczał artysta.

— A pan krzyczy jak *wojewoda* w „Mazepie", tylko że ja nie jestem *Amelją*, tylko Rebocher, i moje pieniądze dostanę! — odparł rozgniewany mecenas sztuki i zagroził sądem,

Skończyło się na dopisaniu procentu; przytem zegarek artysty (prezent benefisowy) przeszedł na przechowanie do rodziny Rebochera.

Do najmilszych — *męskich* wspomnień pana

Rebochera należały wieczory „fredrowskie". Dawne to już czasy, a jednak tkwią one do dziś w pamięci mego bohatera.

— Niema jak Fredro! — powtarza on przy zdarzonej sposobności z entuzjazmem. — Niema jak Fredro! Co ja na nim zarobiłem! A trzeba wiedzieć, iż żeby nie ja, toby może nie było „Ślubów panieńskich" w Warszawie!

Istotnie do kultu fredrowskiego miał pan Rebocher uzasadnione pobudki.

— To już kawał czasu! — opowiadał w tęj materji. — Mieli grać „Śluby"... Przed samym spektaklem wpada do mnie *Albin* czy *Gustaw*, bo nie pamiętam, jednem słowem amant, i mówi: „Panie Rebocher, pożycz dwadzieścia rubli, bo krawiec nie da garnituru". Co było robić? jak może być amant bez garnituru? Dałem. „Śluby" były, amant oddał co do grosza i do dziś jestem z nim w interesie... Płaci rzetelnie, a pożyczać lubi, bo ma duże wydatki.., zwyczajnie jak amant! Ale bardzo porządny człowiek... co ja już na nim zarobiłem! a to wszystko przez „Fredrę". Bardzo zdolny autor! bardzo ładne sztuki pisał!

Poza usługami, dającemi się obliczyć na monetę brzęczącą, przychodził jeszcze artystom pan Rebocher z pomocą innego rodzaju, dbając o reputację *zewnętrzną* wszystkich członków teatru.

Więc mniej zasobnym adeptom sztuki, którym najczęściej wypada grać role wielkich panów, książąt, wodzów, jednem słowem ludzi bogatych, wypożyczał na czas przedstawienia za skromną opłatą, precjoza, jakich *dygnitarz* sceniczny potrzebował, grube złote łańcuszki, sygnety i t. d. Prócz tego, dla wygody cór i synów Melpomeny, i z dbałości przytem o ich zdrowie, trzymał pan Rebocher remizę.

— Wypada, aby się państwo czasam przejechali w Aleje dla parady — radził. — Ja państwu dam bardzo ładny ekwipaż... policzymy się później...

A i na koniach znał się pan Rebocher, nieźle grywał bowiem w „totałiżatora“, nie tylko dla zysków może, co z życzliwości dla aktorów, którzy chętnie plac Mokotowski w porze wyścigowej nawiedzali. Niejednemu *spłókanemu* w „pierwszym“ biegu służył pożyczką na *dogodnych* warunkach, dając artyście w ten sposób możność *odegrania się*. A każdemu prawie radził, na którego konia stawiać.

— Panie kochany — mówił, potrząsając „dodatkiem wyścigowym“, — patrz pan, co tu stoi! Patrz pan, co moja córka podkreśliła... Ona ma przeczucie! to druga Eusapia Palladino, słowo honoru! Graj pan na *piątkę* „zwyczajną“ a *Reszkego* na „francuski“. Ja panu radzę, a i „Jeździec“ to samo pisze.

Rzecz prosta, iż tego rodzaju postępowanie zjednało panu Rebocherowim w artystycznym świecie ogólną sympatję i zasłużone miano „dobrodzieja“.

Cieszył się tem uznaniem przez długi szereg lat niepodzielnie, aż do chwili otwarcia „kasy artystów“.

Nowa instytucja do pewnego stopnia stanęła w poprzek działalności teatralnego dobrodzieja.

Nie był też jej zwolennikiem pan Rebocher — raz, że, jego zdaniem, każda instytucja, jako ciało *zbiorowe*, ujemnie oddziaływa na rozwój *indywidualny*, powtóre, iż, jak to już przykłady przeszłości stwierdzały, talent (bez względu na rodzaj), potrzebując podniety, w niedostatku wzbija się na wyżyny, a z dojściem do względnej zasobności rdzewieje.

— Artysta nie jest stworzony do oszczędności — żalił się pan Rebocher. — Jak tylko ma pieniądze, zaraz mu się spekulacji zachciewa! Nie pilnuje swego i traci... Miał Morozowicz pieniądze, zachciało mu się robić „wino krajowe“. I co? Wino djabli wzięli, a talent został! Zresztą, poco *kasa*, kiedy ja jestem? Te nowe *wynalazki* to tylko *zepsucie*.

Złote słowa! Ileżby to ludzkość zyskała, wróciwszy do form pierwotnych!

7

CHIL ESELPFERD.

Lombard prywatny.

Które z instytucji warszawskich użytecznośc publicznej należą do najpopularniejszych? Jak myślicie?...

„Towarzystwo Muzyczne"... „Zachęty Sztuk Pięknych"... „Wioślarskie"... „Cyklistów" wreszcie...

Nie! nie! i jeszcze raz nie!

Najpopularniejszemi w syrenim grodzie są instytucje lombardowe.

Gdyby pożyczka *lombardowa* dawała prawo głosu, jak n. p. pożyczka w „Towarzystwie Kredytowem Miejskiem", śmiało twierdzić można, iż w takim razie w głosowaniu wzięłaby udział *tonte Varsowie* z Pragą i Szmulowizną razem! Tak popularną jest działalność „lombardów prywatnych!"

Twierdzenia mego nie opieram na bezdowodnem widzimisię.

Mam pod ręką wymowne dane statystyczne jednego z zakładów kredytowych na mocy ich do powyżej przytoczonego doszedłem wniosku.

Sama zresztą wysokość pożyczek wymownie świadczy, że bynajmniej nie ulegam złudzeniu.

Jeśliby kapitał obrotowy w wysokości 10,000 rubli (a takim operuje instytucja mego *dobrego* znajomego, Chila Eselpferda) podzielić na pożyczki, 100-rublowe, rzecz prosta, że popularność zakładu

mieściłaby się jednorazowo tylko w sercach stu ludzi, co w terminach miesięcznych uczyniłoby w ciągu roku 1,200 pożyczek, rozdanych takiejże liczbie indywidów.

Jednakże księgi handlowe i kwitarjusz Chila Eselpferda mówią co innego. Na mocy tych „sznurowych" dokumentów, nie ulegających zaprzeczeniu, doszedłem do następującego predjudykatu statystyczno-finansowego. Pożyczki, udzielane na zastaw ruchomości przez lombardy prywatne, podzielone na kategorje, względnie do wysokości wypożyczanych sum, przedstawiają się procentowo jak następuje.

a) Pożyczki od 50—100 rub. = 1%
b) „ „ 25— 50 „ = 10%
c) „ „ 10— 25 „ = 15%
d) „ „ 5— 10 „ = 20%
e) Pożyczki poniżej 5 rub. = 54%

Co się tyczy terminów płatności pożyczek, prolongat i wykupu zastawu, to wliczając w ogół tranzakcji i tak zwany „*latający tużurek*", możeby uznać za *termin przeciętny* w stosunku rocznym okres *dwutygodniowy*.

O „Latającym tużurku", nie mającym żadnej łączności z „Latającym Holendrem", pomówię później; obecnie, aby nie stracić wątku, wracam jeszcze do statystycznych dowodzeń.

Na fundamencie przytoczonych cyfr z pomocą „czterech działań" z łatwością można zbudować gmach popularności lombardów prywatnych.

Spróbujmy.

Większość operacji, bo 54% ogólnego obrotu, to pożyczki 1—5-rublowe. innemi słowy 5,000 rubli kapitału zakładowego znajduje lokatę na drobnych hypotekach surdutów, chustek, paltotów, zegarków i t. d. Powyższy kapitał w pełnym ruchu przedstawia *minimalnie* 1,000 pozycji kredytowych, odnawianych co drugi tydzień, a więc 26,000 pozycji rocznie. Gdybyśmy przeto nawet z niejakiem uprzedze-

niem zapatrywali się na wymowę cyfr i na *manco* przewidywanej martwoty części kapitału odtrącili całą jego połowę, to i tak z zupełną pewnością twierdzić możemy, że jeden zakład mego przyjaciela, Chila Eselpferda, obsługuje w ciągu roku 26,000 Warszawiaków lub Warszawianek, bo w lombardach pod względem płci panuje, jak wiadomo, równouprawnienie.

A takich zakładów liczy Warszawa kilkanaście.

Pokażcie mi przeto bardziej popularną instytucję! instytucję o więcej rozgałęzionych stosunkach finansowych! instytucję ląpiej w potrzeby ludności wnikającą!!

Do najtrudniejszych umiejętności ekonomicznych należy nauka udzielania kredytu. Stanowi ona jądro i podstawę wszystkich operacji finansowych świata, zajmuje tysiące, ba! miljony rąk; w dziale tym najtęższe pracują głowy.

Na czele instytucji kredytowych stoją zwykle potęgi finansowe, kierując skombinowaną czynnością różnorodnych pożyczek, a choć główną zasadą wszelkich pożyczkowych operacji jest: „dać jak najmniej, a odebrać jak najwięcej", to zasada ta, w teorji łatwa, w praktycznem zastosowaniu rozłożona na samo oprocentowanie, amortyzację, kapitał zapasowy, rezerwowy, wydatki administracyjne i inne *nieprzewidziane* wydatki, wymaga niezwykłej biegłości w orjentowaniu się między sumą, którą *dać można*, a sumą, jaką *odebrać trzeba*.

Zadanie to, wogóle nie łatwe, w najłatwiejszym nawet podgatunku kredytu, kredycie hypotecznym, pochłania wiele czasu i zatrudnia wiele głów przy każdym pojedyńczym interesie.

Najbłahsza pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie da się przeprowadzić bez podziału pracy. Chcąc ją dostać, trzeba pisać podanie, puścić w ruch delegację taksową, opinję dyrekcji „szczegółowej", zatwierdzenie „głównej" i „komite-

tu", wreszcie hypotekować otrzymaną serję lis'ów zastawnych w księdze wieczystej i dopiero scho ać walory w kieszeń, o ile na to inni wierzyciele ; ozwolą.

Lombard ma te wyższość nad innemi ins tucjami, że tam tego wszystkiego nie potrzeba, a łównie, iż pożyczka dostaje się zawsze do własnych rąk pożyczającego.

Na przykład w osobie mego znajomego, Chila Eselpferda, mieszczą się i delegacja taksowa, i wszystkie decydujące dekasterje, i rejent i księga wieczysta!

On szacuje zastaw, decyduje o wysokości pożyczki, on wypłaca wreszcie. Niestrudzony zaiste człowiek! a co za biegłość! Rzuci okiem... raz... dwa... „dam tyle a tyle", mówi i basta! Niema rekursu.

Do takiej *skrystalizowanej* w jednej osobie czynności nielada osoby potrzeba. Najmniejsza omyłka w szacunku grozi poważną stratą, bagatelne niedopatzenie łaty lub dziury w odzieży, niedość skrupulatne rozejrzenie się w werku zegarkowym może spowodować *niewykupienie*, drobna skaza w błamie futra zmienia doszczętnie wartość zimowego przyodziewku, a marka stanowi nieraz o faktycznem *pretium* roweru.

Na tem wszystkiem znać się trzeba, ocenić w mig, bo na dłuższy namysł czasu niema; obliczyć miesięczny procent, należność za *przechowanie* i *asekurację*, i wytargować się w dodatku z klijentem, który zwykle więcej żąda, niż dać mu można.

Jednakże Chil Eselpferd przy pomocy swego wnuczka Aronka, wszystkiemu daje radę i nigdy jeszcze jeden rubel, z wyjątkiem sabatu i świąt, w jego kasie bez obrotu nie nocował.

W tranzakcjach łatwy, nie grymasił nigdy, nie *ganił*, ale brał wszystko, co kto przyniósł, od łyżeczki srebrnej do surduta, od damskiej bluzki do futra, od laski ze srebrną skówką do roweru.

Ostatni artykuł był poniekąd specjalnością finansisty, Chil Eselpferd i jego wnuczek Aronek kochali się w sporcie kołowym i przez chętne uruchomianie kapitału, zawartego w kołowcach, przyczynili się niemało do powodzenia klubu na Dynasach.

Zarówno sam Eselpferd, jak i Aronek, znali się, rzecz prosta, na rowerach wyśmienicie. W kąt wszyscy *championi* wyścigowi!

Bywało, z pierwszym przymrozkiem listopadowym (bo tranzakcje rowerowe odbywały się zwykle w porze zimowej), zjawia się z „maszyną" w zakładzie Eselpferda cyklista.

— Co panu dać? — pyta oglądając „torówkę", finansista.

— Pięćdziesiąt rubli. Prawie nowa...

— Kpij pan zdrów! Na taki gruchot, „dętkę?!..." Kto na tem teraz jeździ?! Chcesz pan na jedno słowo... dam... dwadzieścia pięć...

— E... — oponuje cyklista.

— Przywieź pan prawdziwego *Humbera*... dam całe sto nawet! — odpowiada niewzruszony taksator i z najzimniejszą krwią bierze się do innej roboty.

Wobec takiego „znawstwa" tajników cyklowych właściciel „dętki" zgadza się w końcu na dwudziestąpięciorublową pożyczkę i tranzakcja gotowa.

Procent... przechowanie... kwit... pieniądze...

A gdyby się Eselpferd nie znał na rowerach, czyż nie mógłby *wpaść* na całe dwadzieścia pięć rubli *plus-value??*

Jedynie dla wykazania niezwykłej biegłości taksatorskiej przytoczyłem powyżej operację zastawniczą i z artykułem tak mało rozpowszechnionym jak rower, artykułem wpisanym do księgi *A* pożyczek od 25—100 rs: wynoszących, gdyż powodzenie „domu handlowego" Chila Eselpferda nie gruntowało się nawet w setnej części na tranzakcjach tego rodzaju.

Wprawdzie i zbytek, i dostatek i próżność ludzka dostarczały mu klijentów, pukały wprawdzie do pożyczkowej skarbnicy wikwint i wytworność niekiedy chroniły się także pod opiekuńcze skrzydła instytucji lekkomyślność z marnotrawstwem, lecz najczęstszym i najporządańszym bywała tu gościem praca twarda, znój, pot kroplisty, niedostatek, nędza...

Fundament zakładu finansisty opierał się nie na doli, co mija, lecz nie na niedoli, której, póki słońca starczy, nie zbraknie. Bieda, bezowocny wysiłek, choroba, co na łoże boleści powala, łzy, smutek, rozpacz, wszystkie te czynniki, co się na egzystencje bez jutra składają—one to głównie dostarczały żyznego podściołu pod plon lombardowego posiewu mego bohatera.

Nie złoto, nie klejnoty, cyzelowane cacka, futra kosztowne, lecz odzież wyrobnicza, przesiąkłe potem narzędzie rzemieślnika, sprzęt wdowi, pamiątka sieroca, dostarczały pewnej lokaty dla kapitałów finansisty.

Z szeregu postaci, które co dnia kołatały po zasiłek do ofiarnej kasy Eselpferda, rzadko która przychodziła z suchem okiem, z sercem lekkiem.

Z tej właśnie genezy pożyczek wystrzela promień czystej dobroczynności.

Z jakąż radością wyciągały się nieraz spracowane dłonie po te drobne kwoty! z jakim pośpiechem wybiegały z eselpfedrowskiej „Mons pietatis" złamane matek postacie, śpiesząc z osiągniętym kapitałem po lekarstwo dla dziatek!

A gdyby tak Eselpferd nie dał? To co?

Odpowiedź łatwa i słuszna. Głód, bieda, rozpacz, czasem śmierć nawet, miałyby jeszcze większe żniwo...

W zapale nadużyłem melodramatycznego tonu, co w pogawędce ekonomicznej mogłoby mi być słusznie za błąd poczytanem — przyrzekając przeto

w dalszym ciągu poprawę, wracam do opisu tranzakcji z „Latającym tużurkiem“, stanowiącej *ecélèbre* dobroczynnej działalności Chila Eselpferda.

Historja „Latającego tużurka“ krótka i prawdziwa jak aforyzm. Bo też „Latający tużurek“ to poniekąd aforyzm lombardowy.

Posłuchajcież prawdziwej historji, postaram się ją odtworzyć z fotograficzną wiernością.

„Poniedziałek. Godzina ósma rano. Dziadzio Chil i wnuczek Aron otwierają podwoje dobroczynnej instytucji. Skrzypnęły zamki i wrzeciądze. Kapitaliści zasiadają za *comptoir'em*. Na schodach słychać przyśpieszone kroki. Za chwilę uchylają się drzwi i do lombardu wbiega z zawiniątkiem pod pachą gość pierwszy. To Józek, czeladnik ślusarski.

— Co pan powie? — pyta Chil.

Przybyły pokazuje zawartość zawiniątka.

— Co dać? — pyta dobroczyńca, oglądając pod światło czarny z aksamitnym kołnierzem tużurek.

— Chciałbym cztery...

— Dam trzy... Pisać?

Potakujące skinienie głowy. Skrzypi pióro... potem miarowy zgrzyt nożyc, wycinającykh kwit ze sznurowej książki, potem jeszcze zielony papierek i... koniec *pierwszego tomu* mej historji.

Tom drugi. Upłynęło dni sześć. Niedziela. Godzina ósma rano. Instytucja już otwarta. Szczęknęła klamka, poruszona dłonią. Do komnaty wchodzi Józek czeladnik z kwitem w ręku. Chil wyciąga rękę, bierze kwit, liczy... procent, przechowanie, asekuracja, razem *trzy ruble czterdzieści kopiejek*. Józek płaci. Aron podaje odwoniony naftaliną tużurek.

— Ja tu jutro przyjdę — rzecze na odchodnem Józek.

— Tylko nie zniszczyć tużurka, bobym nie dał trzech rubli — ostrzega dziadzio Chil, wymieniając chytre spojrzenie z wnukiem.

I... koniec tomu drugiego".

Taka jest historja „Latającego tużurka". Wychodzi ona w dwóch tomach, co tydzień w nowem wydaniu, przez cały rok Boży, w dużej ilości egzemplarzy, bo takich Józków, zastawiających w poniedziałki odświętne szaty, a wykupujących je w niedzielę, nie brak na warszawskim bruku.

To najlepsza klijentela mego finansisty. Nie zawiedzie ona nigdy, pojawia się punktualnie w odstępach sześciodniowych, bierze *trzy*, a zwraca *trzy ruble czterdzieści* kopiejek, przekształcając miesięczną pożyczkę na papierze w tygodniową, cztery razy na miesiąc odnawianą.

Jest to uproszczenie dla obu stron bardzo dogodne. „Latający tużurek" wysługuje sie obu kontrahentom. Józkowi w niedzielę przez godzin kilka lub kilkanaście, finansiście przez dni sześć z małym procentem od „depozytu", obliczonym w stosunku miesięcznym, bo inaczej ustawa nie pozwala, a Chil Eselpferd ściśle trzyma się prawa.

Gdyby chciał Józek, mógłby cały miesiąc nie chodzić w tużurku, ale chce że inaczej, że potrzebuje w niedzielę jechać wystrojony na Saską Kępę, że lubi ładnie wyglądać na spacerze, toć Chil nie może krępować niczyjej woli i chociaż ma subiekcję z wpisywaniem i wypisywaniem zastawu, bez zmarszczenja brwi spełnia życzenia Józka i co tydzień odnawia tranzakcję.

Nie czyni tego dla głupieko zarobku, wynoszącego 1 rub. 60 kop. na miesiąc od 3 rubli, nie. On robi ustępstwo, wchodząc w położenie drugich, widząc, iż Józkowi w niedzielę tużurek koniecznie potrzebny, że mu się słusznie po całotygodniowej pracy rozrywka w przyzwoitej szacie należy; bo „jak cię widzą, to cię piszą!"

Gdyby w miesiącu była tylko *jedna* niedziela Chil nie miałby przecie o to do Józka pretensji; niechże więc i Józek nie ma żalu do Chila za *czte-*

ry niedziele. Przecież Chil Eselpferd kalendarza nie układał! nacisku na Józka nie wywiera, na wszystko się zgadza, a że *pisze* i *liczy*, bo na rachunku świat stoi.

Do takich wniosków doprowadzić może każdego bezstronnego badacza historja „Latającego tużurka" we wszystkich odmianach i rodzajach, i tylko bezpodstawna złośliwość ludzka może między Józkiem a Chilem wynaleźć *fata morganę* punktu do oszustwa i wyzysku.

Co do mnie, trzymam się faktów i nadal trzymać będę, a choć przykład Arystydesa każe mi powątpiewać idących owczym pędem tłumów, mam jednak niejaką nadzieję, że z czasem prawda zatryumfuje, zmilkną głosy oszczercze, a większość zbłąkanych przejdzie na stronę *uciśnionego* Chila Eselpferda, pisząc jego imię złotemi zgłoskami na kartach *dobroczynnej* Warszawy.

Niechże więc w dalszym ciągu fakta mówią.

Zwykła reguła zwrotu — *rede quod debes*, przeplatana terminowemi prolongatami z wnoszeniem procentów, nie natrafiałaby zapewne w systemie lombardowym na większe trudności, gdyby zdolność pamięciowa dopisywała w jednakowej mierze wszystkim interesowanym. Niestety, zdarzały się wypadki przytępienia pamięciowego, powodujące nieregularność wpływów, a częstokroć mus poszukiwania zakredytowanych sum z pomocą represai licytacyjnych. Niekiedy również sam regularny nawet wykup fantów dostarczał wątku do sporu. Słuszność każe nadmienić, iż w takich wypadkach dziadzio Chil trzymał się zawsze litery prawa, opartego na dokumencie piśmiennym.

Bywało... zachodzi do lombardu jegomość z zamiarem zaciągnięcia pożyczki. Przedstawia fant, dziadzio Chil taksuje, Może dać sześć rubli. Przybyły zgadza się po namyśle. Aronek wypisuje kwit. Następują powtórne oględziny zastawu, szczegółowsze

zbadanie wartości. Aronek robi skromną uwagę, że przedctawiony przedmiot nie wytrzymuje zadeklarowanago szacunku. Chil, uznając słuszność spostrzeżeń wnuka, cofa pierwotną ofertę. Więcej nad pięć rubli dać nie może, Interesant, przyparty do muru, po krótkiej opozycji ostatecznie zgadza się na zniżkową poprawkę. Ale kwit napisany, marka przylepiona... Szkoda marki! Tymczasem nadchodzą inni interesanci. Kierownicy instytucji nie mają czasu na długie ceregiele... W „pośpiechu", przez *prędkość*, nie zrobiono poprawki w dokumencie. Zastawiający wziął pięć rubli i kwit obciążony pożyczką sześciorublową.

Stało się... wypadek! przepomnienie!...

We właściwym terminie zjawia sie zastawiający po wykup fantu. Chce płacić; pięć rubli kapitału, procent i koszta „przechowania"... Ale kwit opiewa: na sześć. Sprawdzić — trudno. *Verba volant, scripta manent* Daremnie przypomina okoliczności, towarzyszące pożyczce. Trzy miesiące temu... kawał czasu. Ile to interesów przez ten czas przewinęło się przez ręce Chila! Trudno w takim nawale pracy pamiętać o każdej bagatelce. Zresztą na to jest kwit... co napisane, to święte!

— Niech pan nie zawraca głowy! — mówi przeto oburzony natręctwem dłużnika finansista.

— Dzika pretensja! — wtóruje wnuk.

— Kto nie dołoży okiem, ten dołoży workiem — konkludują obaj.

Niema rady. dłużnik płaci „zapisaną" sumę, a jeśli nią odchodnem wyrwie mu się jakie nieobyczajne słowo—tyle jego! Na „pismo" nawet świadkowie nie pomogą...

Takie „staccata" finansowe rzadko miewały dla instytucji gorsze następstwa, wracała chwilowo zakłócona harmonja i sprawy lombardowe szły zwykłym trybem. Dużo więcej kłopotu miał mój bohater z fantami zupełnie niewykupionymi. Przedewszystkim trzeba było urządzić licytację, a urządzić

tak, aby w niej setek ludzi „niepowołanych" nie brał udziału. Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść... gdzie dużo licytantów, licytacja nigdy zgodnie przeprowadzić się nie da. A wiadomo, że *zgoda* buduje...

O zgodę w takich wypadkach dość trudno., Namiętności ludzkie nie znają hamulca, a łakomstwo, łapczywość zarobku cudzym kosztem jest, niestety, powszednią wadą handlujących.

Zapobiegać wadom, nie dodawać bodźca złym instynktom, mogąbym wybuchnąć podczas licytacji, było jednem dążeniem lombardzisty.

Przedewszystkiem więc starał się o *dobór* osobników licytujących, nie szczędząc usiłowań, aby pomienione licytacje odbywały się ściśle w kółku rodzinnem. Że jednak w najporządniejszej familji zdarzyć się może „duch niespokojny", kalający własne gniazdo i licytujący zapalczywie *in plus*, przeto Chil Eselpferd, dla uniknięcia przypadkowego rozbudzenia zwyżkowej żyłki, przeprowadzał istną metamorfozę sprzedawanych zastawów, z pomocą odpowiednio dobranej kolekcji „słomianych fantów".

Metamorfoza odbywała się w wielkiej tajemnicy, przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności. Przedewszystkiem należało się upewnić, czy przypadkiem któremu z właścicieli zastawów nie przyjdzie ochota zjawić się na licytacji. Skoro tylko Chil Eselpferd, z pomocą psychologicznych rozumowań i informacji wywiadowczych, uzyskiwał te pewność, to sprawa była w połowie wygraną. Pozostawało tylko dokonać zamiany, podstawić kopię za oryginał, a wtedy skutek nie zawodził, na fanty nie było amatorów i zastaw pozostawał przy lombardzie, nabyty za sumę pożyczki.

Przykład z futrem, oszacowanem na 50 rubli, a obniżonem na 45-rublową pożyczkę, najlepiej manipulację metamorfozy objaśni.

W książce było zapisane: „futro bobrowe, z bobrowym kołnierzem, pokryte granatowem suknem".

Pokazać takie futro na licytacji, to od razu zrobi się krzyk: pięćdziesiąt! pięćdziesiąt pięć! sześćdziesiąt!... gotowi do stu rubli licytować!

Poco? Właściciel nieobecny, a futra nikt nie zna przecież!...

Futro? będzie futro. Bobry? będą bobry. Granat? jest granat... Pięćdziesiąt rubli! kto da więcej? Licytanci oglądają wzruszając ramionami. Pięćdziesiąt rubli?! dwudziestu nie warte! Pokrycie nicowane... a bobry... lepiej nie gadać. Głowa klubowców z „Biednej dziewczyny" ma lepsze upierzenie... Zrobił Chil feler w taksie, dał za dużo, niech będzie on stratny... niech sam takie łachy kupuje,.. Będzie miał naukę na drugi raz!,. Niema rady.

W braku licytantów „stare" futro zostaje za sumę pożyczki w lombardzie. — A „nowe?„ „Nowe" sprzeda się z wolnej ręki, a może Aronek będzie w niem chodził, bo jak raz pasuje na jego figurę.

Podobnie jak z bobrowem futrem „z bobrowym kołnierzem", można pod nieobecność właściciela urządzić na licytacji metamorfozę z zegarkiem „ankier o dwóch kopertach złoty" z dewizką „z brelokiem" i z każdym zresztą innym fantem. Należy tylko na *kopji* przyłożyć karteczkę numerowaną *oryginału*.

Jest w tem trochę subiekcji, szczypta niebezpieczeństwa, ale w życiu ludzkiem nic bez trudu nie przychodzi. Człowiek stworzony jest do walki z przeciwnościami, cofać się przed niebezpieczeństwem nie powinien, gdyż, jak słusznie śpiewa poeta: „trzeba mieć odwagę, nie tę jednodniową, co w nadzwyczajnych przedsięwzięciach pryska, lecz tę, co zawsze z podniesioną głową, nie da się zepchnąć ze swego stanowiska!".

Taką „odwagę" ma Chil Eselpferd, Losy postawiły go na skromnem stanowisku właściciela lom-

bardu. Niezrażony przeciwnościami, stoi on wytrwale na zajętym posterunku, przez cały rok, z wyjątkiem sabatów, rozwija dobroczynną działalność na „nizinach" kredytowych, przecząc i przeciwdziałając maksymie Malthusa, skazującego na zagładę tych, którym przy wielkim stole przyrody zbrakło nakrycia.

Chil Eselpwferd znalazł antydot na biedę—lombard prywatny. Kto ma *fant*, może się spóźnić do *stołu przyrody*, Chil pożyczy, a restauracja otwarta prawie do godziny 4-ej w nocy. Idzie tylko o *fant*, bo z próżnego nie tylko Chil, ale i sam Sałomon, jak mówi przysłowie, nie naleje.

Tak pracują żydzi, a przynajmniej większość wybranego ludu, bo na szczęście są wyjątki, o czem zapominać nie należy.

Do przeciwdziałania kultowi *takiej pracy*, będącej uzasadnioną przyczyną i jednym bodźcem antisemityzmu, przyczyniać się winien każdy, kochający ogół społeczny.

Pisząc „*Żydów przy pracy*" — ten cel miałem na myśli.

